PISMA
ANTONIEGO MALCZESKIEGO

Z

ŻYCIORYSEM AUTORA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

TOM II.

WARSZAWA,

1857.

Cena kop. sr. 15.

Drukiem A. Ginsa.

PISMA
ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

PISMA POMNIEJSZE
Z ŻYCIORYSEM AUTORA
I OBJAŚNIENIAMI HISTORYCZNEMI
DO MARYI.
przez
K. Wł. Wojcickiego.

TOM II.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA FRÜHLINGA KSIĘGARZA.
1857.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby exemplarzy.

Warszawa d. 26 Października (7 Listopada) 1856 r.

Starszy Cenzor, *Sobieszczański.*

w Drukarni Alexandra Gins, Nr. 755.

„Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu,
Jest to może najwyższy dar losu.
Autorowi Maryi... napis, i dość na tem,
Lecz polska, jak jest cała, potrząsła go kwiatem."

Dnia 2. Maja r. b. skończy się trzydziestoletnia pierwsza rocznica zgonu Antoniego Malczeskiego autora Maryi. Pogrzeb wielkiego poety był cichy i skromny. Warszawa miasto rodzinne wieszcza, nie zwracało uwagi nawet, na żałobny korowód, gdy trumnę czarną, para koni ciągnęło, w której spoczywały zwłoki zmarłego, a zaledwie szczupłe grono kilku osób szło za ubogim pogrzebem. W tym małym orszaku, postępowała kobieta młoda jeszcze, ale smutna, załzawiona, kryjąca oblicze pod czarnym żałobnym woalem była to nieodstępna towarzyszka Malczeskiego, od lat kilku, do ostatniej chwili życia.

Wniesiono trumnę na Cmentarz Powązkowski, dół już przygotowany u progu niemal katakumb, bo na kilka tylko kroków, oczekiwał na jéj przyjęcie. Miejscowy proboszcz, pokropił ją święconą wodą — zabrzmiał śpiew żałobny, kilka tylko rąk rzuciło wilgotnym piaskiem na ostatnie pożegnanie. Pochyliła się do roztwartego jeszcze dołu i postać niewieścia, ujęła bryłkę ziemi, którą zrosiły jéj łzy rzewne i ostatnia rzuciła, z bolesnym w piersi jękiem: a gdy grabarze chwyciwszy łopaty wprędce dół zarównali, klęcząc w milczeniu, ucałowała świeżą mogiłę i chwiejącym krokiem opuściła na zawsze cmentarza powązkowskiego podwoje. Było to dnia 5 Maja 1826 roku. Dnia tego w kurjerze Warszawskim czytaliśmy te słowa:

»Obecni tu przyjaciele ś. p. W. JPana Antoniego Malczeskiego, oddali mu ostatnią chrześciańską przysługę znajdując się przy pochowaniu jego zwłok na cmentarzu Powązkowskim.«

Malczeski urodził się w Warszawie dnia 3 Czerwca 1793 roku: był starszym synem Jana jenerała wojsk polskich i Konstancyi z Błeszyńskich. W młodych leciech utracił matkę: pierwsze nauki odbierał w Dubnie, wraz z młodym Franciszkiem Skibickim, i z tych lat zawiązała się między niemi serdeczna przyjaźń.

Podkomorzyna Skibicka, pragnęła dać jedynemu synowi swemu jak najstaranniejsze wychowanie. Sprowadziła w tym celu z Krakowa i z Francyi wyborowych nauczycieli, którzyby pod jéj okiem, kształcili naukowo syna. Towarzyszem jego był wtedy i Antoni Malczeski. Czacki który pojmował dobrze wyższość wychowania publicznego młodzieży, za widzeniem z podkomorzyną, namawiał usilnie aby obu młodzieńców powierzyła jego staraniu i oddała do Lyceum Krzemienieckiego. Wahała się co do swego syna, ale Malczeski z początkiem roku szkolnego zapisanym został w poczet uczniów Krzemienieckiej szkoły

W rok później przecież, gdy sama własną ręką przypięła medal złoty Malczeskiemu, jako nagrodę za odznaczenie się w naukach: osiadła stale w Krzemieńcu i syna swego do tejże szkoły oddała. Uszczęśliwiona postępem w naukach dwóch młodzieńców, wdzięczna Czackiemu w którym nietylko zwierzchnika, ale opiekuna i jakby drugiego ojca dla obu znalazła.

Malczeski czcił ją jak matkę: kiedy wraz z jéj synem przybył do Warszawy, niezapomniała poważna matrona o tym wychowanku swoim. Nasz poeta pisze pod dniem 10 Stycznia 1815 r. ze stolicy polski w przypisku do listu Fr. Skibickiego.

»Niech pani przyjmie także wyrazy prawdziwéj przyjaźni i uszanowania. Tyle dobroci, tyle grzeczności doświadczyłem już tyle razy od pani, że prawdziwie niemam wyrazów do wysłowienia mojéj wdzięczności i obowiązków dla niéj (*).«

(*) Z Autografu.

Po ukończeniu szkół, wstąpił w szeregi wojsk X. Warszawsk. D. 1 Września 1811 r. widziemy go podporucznikiem w korpusie Inżenierów. Dnia 1 Maja 1812 postąpił na porucznika w artylleryi konnéj. Zaprzyjaźniony z Błędowskim (*) mieszkali z sobą razem i sypiali w jednym pokoju. Z błahej przyczyny wszczęli między sobą sprzeczkę, która do tego stopnia wzrosła, iż pomimo serdecznéj nawet przyjaźni i miłości, wyzwali się na pojedynek. Malczeski dał pierwszy powód, wyzwał Błędowskiego, który jako starszy wiekiem i służbą oficer, niechciał narażać młodego przyjaciela na niebezpieczeństwo: ulegając wszakże jego natarczywości i obrażony coraz więcéj na honorze, przyjął wyzwanie. Gdy gniew obu rozgorzał, wyskoczywszy z łóżek jak byli nieubrani i bez świadków, natychmiast się strzelali. Malczeski otrzymał postrzał w nogę od którego długo kulał. Wypadek ten,

(*) Późniéj jenerałem zmarłym r. 1831 na cholerę.

nieprzerwał między niemi stosunków i znów byli jak dawniej serdecznemi przyjaciołmi (*). Malczeski dnia 1 Lipca 1812 roku przeniesiony na adjutanta polowego do sztabu jenerała Ksawerego Kosseckiego, był w oblężeniu Modlina 1813 roku i w skutku kapitulacyi téj twierdzy dostał się do niewoli. Dnia 29 Maja 1815 do sztabu kwatermistrzowstwa odkomenderowany, w tymże roku 28 Grudnia na własne żądanie otrzymał dymissyę. Bawiąc w Warszawie jako wołynianin, odnowił dawną znajomość z księżną Fryderyką Lubomirską z domu Załuską. Młody urodny i wykształcony, potrafił zyskać jéj serce: gdyby była rozwiedzioną,

(*) Fr. Skibicki przyjaciel Malczeskiego dodaje szczegóły o tym pojedynku o których Józef hr. Załuski mówiący tu o nim, niewspomina. Po wyzwaniu niezaraz się mieli pojedynkować, ale ponieważ mieli role w sztuce na teatr amatorski, mieszkali ciągle z sobą i po odegraniu sztuki strzelali się. Ten pojedynek wszelako niezmienił stosunków między niemi szczeréj przyjaźni.

otrzymałby jéj rękę (*): księżna wyjechała do Szwajcaryi, Małczeski pospieszył w jéj ślady. Lecz gdy stracił nadzieje otrzymania jéj ręki: oddał się cały pracom naukowym.

We trzy lata niespełna widziemy go w podróży na Górę-Białą *(Mont-blanc)* opisał ją po francuzku w liście do professora Picteta z Genewy 1818 roku w miesiącu Sierpniu.

Malczeski następnie udał się do Włoch, wyuczył się dokładnie języka angielskiego i oddał się z całym zapałem, poznania i zgłębieniu literatury starego Albionu. Świetniał w niéj właśnie potężnym jeniuszem lord *Byron*. W Wenecyi zapoznał się z nim bliżéj i wszedł w ściślejsze stosunki tak ze śpiewakiem *korsarza* jak i bawiącym wówczas lordem Oswaldem. Silnie wpłynął Byron na Mal-

(*) Zobacz biblioteką polską w Sanoku 1855 r. wydaną; gdzie przy przedruku jest ogłoszony list Józefa hr. Załuskiego brata księżny Lubomirskiéj.

czeskiego: rzecz można, że to poznanie, natchnęło go — i zwróciło ku poezyi. Skorzystał z téj znajomości i Byron, bo z opowiedzianego szczegółowo przez Malczewskiego podania naszego, o hetmanie Mazepie—powstał wkrótce poemat znany i upowszechniony w literaturze naszéj pięknym przekładem A. E. Odyńca. Zwiedził Francyę, mieszkał długo w Paryżu uczęszczając na naukowe zebrania i słuchając kursów literatury. Trzy lata bawił we Włoszech: najdłużéj przemieszkiwał we Florencyi. Pobyt za granicą i podróże, strawiły majątek jaki mieć mógł po rodzicach zamożnych. Wrócił do kraju bogaty wiedzą i naukowem wykształceniem, ale z trwogą tajemną, z czego resztę dni życia utrzymać: mała bowiem cząstka tylko dawnego mienia została

Krótko zabawił w Warszawie — pospieszył w okolice rodzinne i wziął w dzierżawę małą wioskę w powiecie Włodzimierskim. Tu osmutniały, marzący, zawiedziony w najsłodszych nadziejach serca—niewidząc

dla siebie żadnéj przyszłości: usnuł plan swojéj *Maryi* ze znanego i głośnego wypadku w kraju,— i pierwszą pieśń napisał.

Jeżeli studjował literaturę angielską, zabrał się i do wertowania naszych starożytnych kronikarzy. Przeczytał uważnie Bielskiego, Gwagnina i Stryjkowskiego, z nich zebrał szczegóły do ślicznego, a pełnego kolorytu historycznego, opisu bitwy krwawéj, pomiędzy naszą jazdą a hufcami tatarów. Wiele ustępów już napisał i do pieśni drugiéj — kiedy zmęczony gospodarstwem drobnostkowem, na małéj wioseczce, nieznając się na tym zawodzie i nielubiąc go wcale, zaczął sąsiadów dla rozrywki w swéj samotności odwiedzać.

Najbliższém sąsiedztwem, byli Rucińscy. Zofię Rucińską znał jeszcze z lat dziecinnych, bawił się z nią jako zpokrewną u stryjostwa swego Ksawerostwa Malczeskiego, teraz miłą dla siebie znajomość odnowił.

Pani Rucińska jakkolwiek młoda, ciężką dotknięta nerwową chorobą, bawiła poprzednio czas jakiś w Krzemieńcu, gdzie doktór, wyczerpawszy wszelkiego rodzaju lekarstwa użył w ostatku i skutecznie magnetyzmu. Magnetyzm uspakajał w niéj paroxyzmy nerwowe. Powróciła do domu, właśnie kiedy Malczeski ich odwiedził. Napady nerwowe nieopuściły pani Rucińskiéj i gdy raz był im obecny, ujął w swe ręce jéj głowę — a chora bezwłocznie usnęła. Malczeski, który w podróżach swoich już się z magnetyzmem oznajmił dokładnie, i naukowo go badał: z sercem czułym i szlachetnym, widząc jak wielką ulgę i pomoc choréj przynieść może, zaczął magnetyzmować. Wkrótce dla udzielenia prędszéj pomocy, przeniósł się do domu pp. Rucińskich, tu zamieszkał i był nieodstępnym towarzyszem, nawet w chwilach gdy odwiedzali sąsiedztwo swoje. Stosunek ten i zbliżenie, jeżeli nierozniecił w nim miłości, za to pobudził silniejsze uczucie, w sercu słabéj kobiety.

Przez lat trzy mieszkania pod jednym dachem — towarzystwa — i co największa zostająca pod wpływem magnetycznym: — nic dziwnego, że mogła ukochać człowieka, w saméj sile wieku, tak wykształconego naukowo, znającego świat i ludzi a do tego, otrzymując z jego ręki ulgę w wielkich cierpieniach. (*)

W tym to okresie życia spotkał Fr. Kowalski Malczeskiego, i tak go nam maluje.

»Zaproszeni do pani Modzelewskiéj na obiad, zastaliśmy u niéj gościa młodego i pięknego, mniéj trzydziestu łat męszczyznę.

(*) „Tak trzy lata trwało (pisze sama pani Zofia Rucińska w liście swoim) i działanie magnetyzmu odbywało się zawsze pod okiem męża i nakoniec związek téj niepojętéj mocy zrządził konieczność rozwodu, który już był na skończeniu, kiedy Malczeski umarł. Mąż mój na tę bolesną rozłączenia się naszego konieczność, zezwolił. Ta to jest jedyna przyczyna żadna inna, że ja z Antonim Malczeskim przez sześć lat byłam razem. Bóg tylko jeden zniszczył to, co niebyło z jego wolą.“ (Zobacz Cmentarz Powązkowski. T. I, stron. 43.)

Był on średniego lub nieco wyższego wzrostu nad średni, proporcyonalnej tuszy, pięknej i ujmującej twarzy. Włos półciemny, półjasny, pływał w bujnych zwojach po jego białym wysokim czole: oczy ciemno szafirowe zadumanem i przemawiającem spoglądały wejrzeniem: usta koralowe, lekkim, ciemnym uwieńczone wąsikiem, dzwoniły srebrnym do duszy płynącym głosem. Całe oblicze i oba policzki białe swieżym okraszone rumieńcem, nadawały mu pół męzki pół żeński estetyczny powab.«

To co mówił wtedy Malczeski o potrzebie oryginalności w literaturze naszej — to dowiódł swoją powieścią.

W roku 1823 opuścił dom Rucińskich i bawił kilka miesięcy w Hnidawie niedaleko Łucka u pokrewnej swojej pani starościny Lipskiej. Ztąd pisał do swego przyjaciela Fr. Skibickiego, aby przynaglił Alexandra Błędowskiego, o odesłanie mu resztek majątku, który został u niego. Tymczasem chciał zapożyczyć 300 dukatów: wyraża tru-

dne i przykre swoje położenie. W Lipcu tegoż roku — donosi że Zofia Rucińska przybyła, aby z nim razem wyjechać do Warszawy. W troskach i niepokoju wysyła list po liście o pieniądze, gorąco zaklinając o skutek pomyślny. Otrzymał przecie należytość swoją, ale prawie po roku oczekiwania i dopiero w roku 1824 przybyli razem do Warszawy.

»Widziałem go w Warszawie (pisze w liście swoim Józef hr. Załuski i były jenerał b. w. polskich) nim wydał Maryą, zmienionego, dziwnie ztetryczałego. Z ówego Adonisa przypominającego z rysów twarzy młodego Stanisława Augusta, zobaczyłem z wielkim moim zadziwieniem człowieka, wyglądającego na pastora luterskiego, w jakimś żałobnym półduchownym stroju, lecz nie katolickich księży. Był całkiem zajęty magnetyzmem.» (*)

(*) Zobacz Biblioteką Polską w Sanoku wydaną 1855 r. na czele przedruku poematu *Marya*.

Rękopism już swej powieści miał gotowy: Co rychlej przeprowadził go przez Cenzurę, a pragnąc oddać cześć należną zasłudze, postanowił go przypisać autorowi *Jana Tęczyna.* Przyjął mile osiwiały literat ten hołd młodego pisarza, przejrzał rękopism, i pochwalił przez grzeczność autora. Malczeski z ostatków swego mienia łożył na druk Maryi i pospieszał z wydaniem, w nadziei, że rychłą sprzedażą pokryje nietylko koszta, ale i jakiś zasób większy zdobędzie. W ciągu paru miesięcy — druk ukończył: — powieść ogłoszona. Księgarze spojrzawszy na szczupłą broszurkę, z litości brali po parę eksemplarzy: bliżsi przyjaciele i znajomi co otrzymali je darmo, pochwalili jak zwykle, ale się nietroszczyli o rozprzedaż: — poeta zbyt szlachetny i dumny, aby zniżał się do proźby, obniża cenę powieści na złp. 1 gr. 20 i składa zapas, w znajomym a przyjaźnym sobie domu, gdzie wiele bywało osób. Uprzejma gospodyni, niepożałowała trudu: starała się o rozprzedaż: ale ta

szła twardo — i zaledwie 20 egzemplarzy po téj cenie zbyła. Sprzedaż ta trwała do końca roku 1825. Nakład ani jednéj dziesiątéj części niezostał pokryty: Malczeski w milczeniu bolał: a nieuleczona choroba, coraz go więcéj gnębiła. Z odwagą znosił nieraz straszne cierpienia: znikł rumieniec dawny i białość lica, pokryła je barwa żółta — chorowita. Wychudł, zgasł z oczu ogień życia. W kwietniu 1826 roku, choroba pozbawiła go reszty sił i przykuła do łoża. Zofia Rucińska czuwała nad niém, i widziała jak życie z dniem każdym przygasa. Malczeski mięszkał wtedy przy Ulicy Elektoralnéj pod Nr. 796, na drugim piętrze. Wszystkie fundusze jakie miał, już wyczerpał: zadłużył się za komorne i w aptece za lekarstwa. W ostatnich chwilach był nadzwyczaj pobożny: ciągle się modlił: od rozbudzenia ze snu i dopóki mógł, czytywał książki do modlitwy. To wzniesienie myśli do Boga, było ulgą w jego boleściach. Wiosna była ciepła i w całym rozwiciu zie-

loności i woni; zatęsknił do odetchnienia świeżym powietrzem choć w ogrodzie—ale niemiał siły potemu.

Rano 2 Maja skończył cierpienia swoje. Zofia Rucińska opuściła natychmiast po zgonie Malczeskiego to smutne mięszkanie, i pożegnała raz ostatni nieszczęśliwego wieszcza przy dole grobowym: służący Tomasz *Świerzbiński*, tegoż dnia pozostawił innym staranie o zwłokach swego niegdyś pana.— Sąd pokoju Powiatu i Miasta Warszawy Wydziału 2 Oddziału Spornego tegoż dnia 2 Maja opieczętował pozostałe rzeczy zostawując tylko ubiór potrzebny do pogrzebu nieboszczyka... Dnia 17 Lipca tegoż roku, Jan Felix Wilski, Rejent Kancellaryi ziemiańskiej, takie ogłoszenie umieścił w Kurjerze Warszawskim:

»Po Antonim Malczeskim pozostałość przy Ulicy Elektoralnéj pod Nr. 796, w miejscu otwarcia spadku, znajdująca się d. 27 Lipca r. b. od godziny 4 po południu, w największej części z szaf, stolików, kanap i

krzeseł, tudzież nieco z garderoby, porcelany fajansu i szkła składającą się, z upoważnienia JW. Prezesa Trybunału Cywilnego pierwszej Instancyi Województwa Mazowieckiego, przez publiczną licytację sprzedawaną będzie, o czem chęć kupna mających, zawiadamia się.«

Z tej sprzedaży nie pokryto długów za komorne i w aptece.

Kiedy ogłosił Malczeski swoją powieść *Marja*, już w ówczas żarliwa wrzała walka między klassykami i romantykami. Wtedy poważne literackie pismo Biblioteka Polska, zwróciła uwagę swoją na ten utwór. Obszerny rozbiór Maryi zaczyna od takiego wstępu:

»Powieść ta wierszem napisana, z wielu względów zasługuje na uwagę, już to jako utwór oryginalny i pierwsze dzieło autora, któremu talentu odmówić niemożna, już to, że zdaje się należeć do szkoły romantycznej, już nareszcie dla samychże błędów, których wykazanie i zastanowienie się nad ich przy-

czyną, posłuży nam na poparcie zasad, jakich zawsze, w obecnéj że tak powiem walce, między klassykami i romantykami, trzymać się będziemy.«

Po daniu treści i piękniejszych ustępów bardzo szczupłych, i nie zupełnie trafnie wybranych, tak dalej Redaktor biblioteki polskiéj, swoją krytykę prowadzi:

»W ciągu czytania téj powieści mnóstwo zapytań nasuwa się czytelnikom, dla czego pan Wojewoda niechciał pozwolić na związek Syna? W jakim zamiarze potem się skłonił i wysłał go na wojnę z tatarami? Co za jedno było to pacholę? Co znaczą te maski, i od kogo wysłane? Dla czego one utopiły Maryę? Jakim sposobem znaleziono ją potem na łożu? Co się stało z Wacławem i pacholęciem i t. d. Odgadnie nareszcie czytelnik, że Wojewoda postanowiwszy Maryą zgubić pozorną zgodą, wyprowadził Miecznika przeciw tatarom, a sam użył téj chwili do nasłania zbójców w dom jego, i to jest zawiązek całéj powieści. Au-

tor oczewiście chciał naśladować Byrona, którego bohatyrowie; jako to: Korsarz, Lara i t. d., niewiedzieć co są za jedni, gdzie się podziewają. Widziemy obraz kilku chwil ich życia, a z resztą zostajemy w niepewności. Lecz niełatwo jest naśladować utwory, którym wielki pisarz nadaje piętno swego geniuszu i pojmowania rzeczy: powiem więcéj, że takie naśladownictwo jest niepodobném a nawet szkodliwém—Korsarz i Lara przestępują w części prawidła z natury rzeczy wywiedzione, a które wymagają, aby każde zdarzenie wystawić jasno, porządnie, wykazać mu sprężyny działania, czy to przyrodzone, czy nadprzyrodzone, albo tak rzecz swoję ułożyć, aby czytelnik bez mozołu odgadnął: aby rozstrzygnąć nareszcie los osób działających. Jednakże w téj chwili, w któréj Byron bohatyrów swoich stawia przed oczy czytelnika, wypadki dokładnie wiążą się z sobą, i widziemy tę nić, która autorowi w jego pracy przewodniczyła: a chociaż początek bytu, albo los bohatyrów po-

ematu pozostaje dla nas nierozwiązanym, lecz ich charakter silnie skreślony i odrębną cechę mający, obudza w nas zajęcie się ich dolą. W Maryi zaś P. Malczeskiego, czytelnik nieustannie musi zgadywać. Co są za jedne działające osoby, zkąd się wzięły, gdzie się podziały, dla czego to i to uczyniły? tak że ustawiczne to domyślanie się, trudzi umysł, i niedozwala mu wcale zająć się losem głównych osób. Trudno nam jest ocenić trafność i piękność myśli, gdy nieznamy nazwiska ani położenia tych, którzy je wyrażają. I wiele miejsc w téj powieści, więcejby przemówiły do serca czytelnika, gdyby jéj układ był jaśniejszy. Przedmiot Maryi, tak jest prosty, jéj treść wolna od wszelkich ustępów, że ją w kilku wierszach zamknąć można. Autor, tworząc z téj rzeczy poema, tysiąc czterysta kilkudziesiąt wierszy wynoszące i w jak najszczuplejszym zasadzając się zakresie, powinien był ją ozdobić wysoką pięknością stylu, świeżością obrazów, wzniosłością myśli i mocnem od-

daniem uczuć. Jeżeli jaki utwór poetycki te zalety posiada, wtenczas niepotrzebuje zawiłości intrygi i mnogości zdarzeń, owszem, sama prostota układu, jego wartość pomnaża. Marya nie jest zupełnie pozbawiona tych wdzięków. Wyjątki przytoczone w zarysie, odznaczają się prócz niektórych uchybień i pięknością wiersza i myśli, a nawet przypominają nam styl naszych dawnych pisarzy, jego prostotę i wdzięki, której przywrócenie do poezyi byłoby znakomitą zasługą. Lecz wyznać powinniśmy, że w ogóle, stylu Maryi pochwalić niepodobno. Przytoczyliśmy najprzód piękniejsze miejsca, aby autorowi oddać sprawiedliwość i czytelników nie odstręczać. Wymieniamy teraz małą część z wielu wyrażeń, rażącach niewłaściwością, gminnością lub przesadą.«(*)

(*) Do tych wyrażeń liczy recenzent między innemi następne:

„A na ich bystrych oczach siedziało zwycięztwo
„A na ich serc opoce, kwitły wierność, męstwo.

Opuszczamy wyliczenie tych gminności, przesady i niewłaściwości, a przywiedziem zakończenie samo téj pomienionéj krytyki.

»Zadziwi zapewne czytelników taka nierówność stylu, że obok myśli pięknym wierszem oddanych, podobne uchybienia miejsca miéć mogą.— Pierwsze są oznaką talentu, drugie niewykształconego smaku, lub téż może są skutkiem źle zrozumianego wyobrażenia o rodzaju romantycznéj poezyi. Albowiem unika ona wykwintności lubi nawet pewien rodzaj prostoty, lecz nie przypuszcza gminności i ciągłego zaniedbania, lubi swoje utwory tajemną zasłoną pokrywać, lecz nieidzie z tąd, aby całe poema było ciągłą i mordującą zagadką. Tak więc

---

„Słońce świeci z kosa.“ (zamiast z ukosa)
„Kozak swe członki wędził na stepowym wietrze.“
„Han tatarów targa kłaczystą brodę, gębę krzykiem rozdziawia.“
„Dla nich gwar małych ptasząt w żywej słodkiéj nucie,
„Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie. i t. d.

Marya pomimo wszystkich błędów swoich wskazuje nam, że jéj autor może powiększyć szczupłe grono naszych oryginalnych pisarzy: jeżeli przy zdolnościach, jakie posiada, ukształci swój gust i sprostuje pojęcie swoje poezyi, z którego jak nam się zdaje wyniknęły po większéj części wady jego utworu.« (*)

Rozbiór ten ogłoszony czytał Malczeski: nietaił przed przyjaciołmi swemi, że go żywo dotknęło takie pobieżne ocenienie powieści, któréj wyższą wartość sam poczuwał. W pierwszym uczuciu goryczy, chciał odpisać, ale ochłonąwszy, skruszył pióro na zawsze.— Zwątpienie we własne siły, ogarnęło jego duszę.

W cztery niespełna lat po zgonie Malczeskiego, współredaktor dawnego dziennika Warszawskiego, a jeden z najznakomit-

(*) Biblioteka Polska. Pamiętnik umiejętnościom historyi literaturze i rzeczom krajowym poświęcony. Tom IV. Warszawa 1825. Str. 76—85.

szych krytyków naszych, w gazecie polskiéj w obszernym rozbiorze uczcił pamięć wielkiego poety, i całą wartość jego powieści wykazał.

»Smutna powieść jego (mówi) jak dumy i śpiewy tego kraju, gdzie się urodził: ofiara nieumiejętnéj krytyki, co ją przed kilku laty na zapomnienie skazała. Publiczność polska nie zna Maryi Malczeskiego — nie we wszystkich ręku znajduje się to poema. Nierozkupiono małéj liczby odbitych exemplarzy. Przykład nieprawdy rencenzentów, godny pamięci. Marya Malczeskiego jest jednym z najśliczniéjszych i największych utworów tegoczesnéj literatury polskiéj, mimo wielu niepoprawnych wiérszy, i twardego, jak się niektórym zdaje wysłowienia, jakie ja przynajmniéj mojem zdaniem, za zaletę poczytuję.«—

O cenę tego poematu szczegółowo znajdą czytelnicy we właściwym dziele; przywiodę więc tylko jéj zakończenie.

»Niemasz dzieła w dzisiejszéj (r. 1829—30.) poetyckiéj literaturze polskiéj, któreby tę powieść Malczeskiego przechodziło bądź wielkością układu, bądź ustawicznością ducha, bądź nakoniec umiejętną, szykowną, zręcznością prawdziwie artystoczeskiéj *expozycyi.* Nieliczny był poczet osób, składających żałobny orszak na pogrzebie Malczeskiego. Niemówiono wtenczas: »Umarł wielki poeta!« Przyjaciele żałowali tylko przyjaciela, geniusz przemknął się nieznany, jak cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień z skromnym napisem:

»Autorowi Maryi.«—

Obudzenie pamięci Malczeskiego i jego poematu, silne wywarło wrażenie na młode serca. Wykupiono wszystkie exemplarze pierwszego wydania — a sędziwy poeta i historyk, któremu nasz Wieszcz przypisał swój utwór, dopiero wtedy poznał się na jego wysokiéj wartości.— Grono młodzieży poświęconej nauce, odszukało ślad mogiły

Malczeskiego, któréj nawet krzyż drewniany nieodznaczał, i zaczęli się krzątać około wystawienia mu pomnika, gdy zawichrzenia krajowe niedozwoliły téj myśli urzeczywistnić. Widziałem już rysunek gotowy do pomnika i napis jak go podał znakomity krytyk w tych tylko słowach: »*Autorowi Maryi.*«

We dwadzieścia dziewięć lat stanął pomnik dopiero na Cmentarzu powązkowskim; lubo przedtém o spełnieniu téj myśli jeden z redaktorów pism naszych już się postarał.

Po wydaniu pierwszego zeszytu opisu Cmentarza Powązkowskiego, znaleźli się gorliwi wielbiciele zmarłego poety, którzy postanowili wystawić mu pomnik grobowy. Smierć przypadkowa siostry przyrodniéj Malczeskiego, Karoliny, przyspieszyła urzeczywistnienie tego zamiaru. W chwili bowiem, kiedy brała zeszyt *Biblioteki Warszawskiéj* do ręku, w chęci przeczytania umieszczonego w nim życiorysu swego brata, nastąpiła na zapałkę, od któréj suknia zajęła

się płomieniem. W skutek oparzelizny mocnéj, skończyła prędko cierpienia swoje.— Spoczywa na Cmentarzu powązkowskim, w końcu dzisiejszych katakumb — na jednéj opartéj tarczy o kolumnę od strony katakumb czytamy napis: »*Autorowi Maryi: położył H. Skimborowicz, redaktor piśmiennictwa krajowego,*« na drugiéj: »*Karolinie z Malczeskich Kulman, zmarłéj w Warszawie, w dniu 3 Marca 1854 r. pokój jéj duszy.*« (*). Nie tu wszakże spoczęły prochy naszego wieszcza; ale jakieśmy już wspomnieli, w tym małym obrębie ziemi, jaki zajmuje kilka są-

---

(*) Jak się w tym pomniku zespoliło imie wielkiego poety, z redaktorem dawnego już pisma, musiemy objaśnić. H. Skimborowicz, wiedząc że Malczeski niema pomnika, kazał kamień z napisem powyższym przygotować, ale różne przeszkody, niezawisłe od jego woli, niedozwoliły mu do położenia go na Cmentarzu Powązkowskim. Obecnie, po usunięciu tych zawad, po nagłéj śmierci siostry poety, na miejscu spoczynku jéj zwłok, i dawny a gotowy zachowano napis.—

żni na starym Cmentarzu Powązkowskim, pomiędzy początkiem pierwiastkowych katakumb, a pomnikiem i grobowcem Szymanowskich Korwinów, co tę ziemię darowali miastu Warszawie na Cmentarz (*).

Do dwudziestu już jest wydań Maryi. Z nich na szczególną wzmiankę zasługują: wydanie w Londynie, nową a dziwaczną pisownią polską: Wydanie Augusta Bielowskiego we Lwowie 1843 roku, jako najzupełniejsze, bo nietylko że zawiera nieznane ułomki Malczeskiego, ale i dziejowe pomniki objaśniające przedmiot saméj powieści. Życiorys samego poety jest niedokładny i pełen błędów: ale nie wina w tém wydawcy: niemając innych musiał się oprzéć na niepewnych wieściach, i przekrzywionych

(*) U progu pieczar kilka kroków na lewo, leżą jego kości. J.W. Z.. nadwiślanin. Pamiętnik literaturze poświęcony. 1841 r. T. 1, str. 123.

podaniach (*). Wspomnieć tu należy o wydaniu illustrowanym B. W. Wolffa, w którym niezgrabnego rysunku drzeworyty, nieodpowiedziały wartości poematu.

(*) Antoni Malczeski, jego żywot i pisma ozdobione portretem (fałszywym) wydał August Bielowski. Lwów, 1843. — Do załączonych tu małych utworów prozą i wierszem Autora Maryi, policzyć należy jeszcze czworowiersz i odę do wojny większego rozmiaru, ogłoszone w Cmentarzu Powązkowskim, w tomie I. Są to próbki pióra, jeszcze pod wpływem francuszczyzny. Ani w nich śladu zdolności wielkiego poety,

DROBNE PISMA

ANTONIEGO MALCZESKIEGO.

PODRÓŻ

na górę białą (Mont-blanc),

OPISANA W LIŚCIE DO PROFFESORA PICTETA (*)

Genewa, w Sierpniu, 1818.

Chcesz mieć waćpan opis mojej podróży do Szamuni; ożywiony miłością swego kraju, i śledząc gorliwie wszystko, co tylko może być pożytecznym dla ludzi, ciekawy

---

(*) Tłómaczenie Józefa Rejznera.

jesteś szczegółów mojéj drogi; ponieważ sądzisz, że i drobne nawet rzeczy niekiedy interesować mogą, powinienem więc zadość uczynić woli jego, i wziąść się do pisania w języku, który nie jest moim rodowitym.

Dziwiłem się jak wszyscy wyniosłym górom i roskosznym dolinom ojczyzny waćpana; lecz brzegi genewskiego jeziora nadewszystko mi się podobały, przypatrywałem się z tamtąd lodowatym wierzchołkom gór szamuńskich i ubolewałem, gdym przy zachodzie słońca nie mógł już ich widzieć, lub gdy obłoki skrywały ich wierzchołki przed moim wzrokiem; nakoniec podczas pięknego jednego wieczora w lipcu, tak mię wspaniały widok góry-białéj zachwycił, żem postanowił przypatrzéć się jéj zbliska. Niebędę opisywał waćpanu podróży mojéj z Genewy do Szamuni, sama tylko góra-biała, zajmowała moją uwagę, i pałałem niecierpliwością wstąpienia na jéj wierzchołek. W *Salenches*, gdziem pierwszą noc przepędził, chciałem zasięgnąć wiadomości, lecz mi ją

dano w sposób bardzo niepochlebny mojemu zamiarowi: wystawiano mi nieskończone trudności, powiadano o ogromnych rozpadlinach, które się niewiadomo jakim potworzyły sposobem; wreszcie, że niepodobna już było zbliżyć się do góry-białéj, i śmiano się, gdym powiedział, że chcę wejść na jéj wierzchołek. Nazajutrz nowe nieszczęście, niebo się zachmurzyło, i powiadano mi o deszczu w ten sposób, jakoby mię z honorem miał wyprowadzić z tak niebespiecznego przedsięwzięcia. Przybyłem więc do Szamuni z niewielką nadzieją osiągnienia celu mojéj podróży, lecz przewodnicy umniejszyli mi natychmiast wyobrażenia o tych straszliwych rozpadlinach. Poszliśmy nieco po lodach, lecz w krótce powiedziano mi o górze stertą południową *(l'aiguille-du-midi)* zwanéj, na któréj nikt jeszcze nie był. Chodziło więc o odkrycie nowéj pomiędzy górami doliny, a przynajmniéj nowego przechodu; zapomniałem już o górze-białéj, a cały pałałem chęcią zwiedzenia téj

sterty. Nie chciałem jednak porzucić dla niéj góry, która niejako jest wszystkich innych królową, i dla pogodzenia mych chęci, zamierzyłem daleko rozciąglejszą drogę, to jest, przybywszy na stertę-południową, szukać z tamtąd przejścia na górę-białą, a z niéj zwyczajną powrócić drogą.

Poszedłem ku stercie-południowéj w towarzystwie sześciu przewodników. Przebywszy wąwoz Montanvert i morze lodowe *(Mer-de-glace)* przyszliśmy do Tacul o godzinie siódméj wieczorem. Wiesz waćpan, że ten nocleg nie jest bardzo wygodny: sąto skały otoczone lodami, w bliskości niewielkiego jeziora, które na noc znika. Zimno było dość wielkie: ciepłomierz Réaumura stał na 1 st. pod zero. Nazbierano prędko rośliny rododendron, która jeszcze rośnie na tych skałach, a naniecony wielki ogień wkrótce ogrzał i rozweselił naszą gromadkę. Po wieczerzy śmieliśmy się i rozmawiali; powiadano mi wiele dziwnych rzeczy o tych górach nakoniec przewodnicy moi układli się spać

 3*

około ogniska, a mnie dano wygodniejsze miejsce na jednym, mniej niż inne, ostrym i chropawym kamieniu. Znajdowaliśmy się pod ogromném urwiskiem skały, która wisiała nad nami, a za najmniejszym pdwiewem wiatru, dym okrywał nam twarze; to widowisko było dla mnie tak nowe, żem nie mógł spokojnie zostawać na miejscu; wdrapałem się na bryłę kamienia niedaleko z tamtąd leżącą. Xiężyc oświecał te pełne skał i lodów pustynie, ale nic oka zabawić, ani umysłu uspokoić niemogło; ludzie śpiący naokoło gasnącego już ognia, zdawali się być przychodniami do krainy śmierci, gdzie uledz mieli nieodzownemu losowi, którym wiszące nad głową bryły lodu i śniegu groziły. Zimno nakoniec spędziło mię z miejsca z któregom się przypatrywał. Obudzili się ze snu przewodnicy, naniecono znowu ognia, i resztę nocy spędziliśmy na rozmowie. O godzinie czwartej rano gotowaliśmy się w dalszą drogę. Ciężkomierz, który wieczorem pokazywał 22 cale i dwie li-

nie, rano spadł nieco; ciepłomierz stał na 4 st. (R.) pod zero; dla bespieczeństwa powiązaliśmy się jedni do drugich powrozami, i poszliśmy dalej. Szliśmy naprzód brzegiem jeziora, które było znikło, widzieliśmy bowiem tylko nagie kamienie, które składały jego łożysko, i przebywszy rozpadliny będące na drodze do góry Col-du-Géant, weszliśmy na płaszczyznę utworzoną ze śniegu. Tam naradzaliśmy się którą drogą pójść nam należało; były przed nami trzy lodowate sterty, które nas na stertę południową wyprowadzić mogły. Sterta po prawej stronie będąca, zdawała się bardzo urwista i rozpadlin pełna, udaliśmy się więc na drugą, której pochyłość podnosiła się dosyć powoli, a umysł mój wyobrażeniami pięknych dolin, któreśmy znaleźć mieli, był całkiem zajęty. Lecz same tylko natrafialiśmy przepaści. Znużeni wielkim trudem, i przebywszy dość znaczne niebezpieczeństwa, ujrzeliśmy nakoniec południową stertę, i o godzinie czwartej po południu weszliśmy na

jej wierzchołek. Góra ta ze strony Szamuni przedstawia dwie skały, przedzielone bryłą ziemi, okrytą śniegiem. Weszliśmy na niższą z tych skałę, i nawet na bryłę okrytą śniegiem, albowiem druga skała jest niedostępna, i podzielona na wiele ostrych wierzchołków; poznaliśmy nakoniec, że ztąd żadnąmiarą na górę-białą dostać się niemożna. Widok z téj skały jest bardzo rozległy; widać tu przez grzbiet góry Col-du-Géant wielką część Lombardii, i te piękne Włochy, które dając się widzieć z poza wierzchołków gór lodem pokrytych, zdawały się przypominać roskoszne elizejskie pola, które imaginacja starożytna za smutnemi widziała grobami. Ponieważ bespiecznie aż na zachodnim kraju téj skały stanąć można było, postrzegliśmy z tamtąd przeorstwo szamuńskie, lecz obłok część doliny przed nami zakrywał. Że zaś barometer uległ przypadkowi, niemogliśmy czynić żadnych postrzeżeń, i zaraz o powrocie poczęliśmy zamyślać. Było już późno, a koniecznie po-

trzeba było powrócić na noc do Tacul, ponieważ przemokli, znużeni i nie tak dobrze byliśmy odziani, żebyśmy noc na śniegu przepędzić mogli. Spuszczając się na powrót, ominęliśmy przykre przeprawy, które nas tyle kosztowały znoju, i wcale inną udaliśmy się stroną, idąc brzegiem stert lodem pokrytych, które nas przedzielały od góry-białéj, a o godzinie dziesiątéj dostaliśmy się na nasze kochane skały. Tam zaniechałem wszelkich uwag, i powróciłem szczęśliwie do Szamuni.

Oto więc podróż moja prawie skończona, bo co się tyczy zwiedzenia góry-białéj, o któréj mam mówić, droga moja była prawie taż sama, którą niegdyś przebywał p. de Saussure. W towarzystwie 11 przewodników poszedłem przez górę Lacôte zwaną; nocowaliśmy na skałach Grands-mulets, a nazajutrz 4 Sierpnia o godzinie pół-do-pierwszéj wstąpiliśmy na wierzchołek. Ba-

rometer stał na 15 cali i 9 linij, (*) a ciepłomierz 3 st. (R.) pod zero pokazywał. Czas był piękny. Ciekawym będąc, czyli żywość kolorów nie traciła nic w tak wielkiéj wysokości, wziąłem był z sobą pryzma. Kazałem w Genewie odmalować jak najdokładniéj kolory pryzmatu, lecz żadnéj w nich niepostrzegłem różnicy, żywość kolorów była jednostajna.

Zostawaliśmy półtory godziny na wierzchołku góry, z któréj widok był zachwycający, i wyższy nad pojęcie. Świeżość drzew i dolin, śliczne zakręty jeziora mogą przyjemnie zachwycać oczy i umysł; ale zostając pośrodku tego nieporządnego gór tłumu, tych brył olbrzymich i niekształtnych, które z pośród śniegów i lodów widzieć się da-

---

(*) Mamy powód mniemać że barometer niebył dobrze oczyszczony z powietrza, ponieważ prawie 4 linie niżéj niż barometer Saussura na tejże wyniosłości pokazywał; kiedy barometer na dolinie był wyżéj nad średnią swą wysokość.

ją, patrzący mniema się być świadkiem stworzenia rzeczy, kiedy wszystko, cokolwiek ma cechę człowieka, znika, zaledwie postrzegać się dają lekkie miast ślady, które ręka przeznaczenia oznacza do wzniesienia na przyszłość, wszystko zdaje się zapowiadać tę wielką godzinę, i przerażony tą myślą wędrownik, skwapliwie schodzi na dół, żeby w ogromie wielkich przemian, które dziać się mają, pochłonionym nie został. Opuściliśmy więc ten, jedyny w świecie widok, i około godziny szóstej wieczorem przybyliśmy do skał Grands-mulets. Radość którą nas pomyślny skutek wyprawy napełniał, wszystkiemu przyjemną i czarującą nadawała postać, a wejście na górę-białą zdawało się być igraszką, w porównaniu do smutnych i straszliwych przepraw na południową-stertę. Nazajutrz pyszni z powodzenia naszego zeszliśmy na dolinę Szamuni. Znalazłem tam przyjaciela waćpana, kapitana Bazylego Hall, pisarza bardzo ciekawej do Chin podróży, która niedawno na

świat wyszła; ubolewał on bardzo, że niebył w naszem towarzystwie, ponieważ chciał także odwiedzieć górę-białą, i wymienił mi wiele ważnych postrzeżeń, które tam czynić zamierzał.

Otóż opisanie podróży przez waćpana żądane. Ciekawość i pochlebna chęć dokonania tych rzeczy, które codzień dopełnić nie można, zaprowadziła mię na wasze góry. Przyjemna ich pamięć, równie jak i zaszczytu poznania się z waćpanem, do którego one powodem mi były, na zawsze mi w umyśle wyrytą zostanie.

POWIASTKI.

IFIGENIA.

czyli

skutki niewierności.

Famam extendere factis,
Hoc virtutis opus.
Virgil

W lubéj okolicy nad brzegiem bystréj wody, otoczonéj z jednéj strony górami, z drugiéj najprzyjemniejszym widokiem na rozległe doliny, leżał zamek, którego pozostałe zozwaliny przeszłą wspaniałość okazywały. Tenże był siedliskiem przodków pobożnego starca, żyjącego na szczęścia łonie, w gronie po matce osierociałych córek. Piękne dziewice, każdego oko na siebie ścią-

gały, każdy szczęśliwym się być cenił, oglądając ich powaby. Dobrosław, hoży młodzieniec, mieszkający w pobliskiéj okolicy, zajęty pięknością Ifigenii starszéj córki Grzymisława, starał się o jej rękę, a ojciec przyobiecał onemuż po odebraniu tylko zezwolenia ze strony jego rodziców, i jeżeli się to tylko z wolą Ifigenii zgadzać będzie. Doboslaw otrzymawszy od swego ojca zezwolenie, gdy i Ifigenia dała mu słowo, z radości się rozpływał. Lecz wołał go święty obowiązek do obrony kraju, kochankowie odwlekli ślubny związek, przysięgając sobie wzajemną wierność.—Dobrosław idzie piersią zasłaniać ojczyznę, bić się mężnie na polach Kirchholmu, powraca w krótkim czasie okryty bliznami i znakąmi odwagi na łono Ifigenii. Sądząc że z niecierpliwością oczekiwany, niestety! ozięble został przyjętym. O nieba! cóżto się stało? dla czegóż Ifigenia mną wzgardziła? nie raz pytał się sam siebie, a widząc niechęć ku niemu malującą się na twarzy Ifiigenii, postanowił na-

zajutrz opuścić zamek. Straciwszy noc bezsennie, przygotował się do odjazdu. Grzymisław widząc żegnającego się z nim Dobrosława. rzecze: »Czegoż tak spiesznie szanowny młodzieńcze opuszczasz moje mieszkanie?« Dobrosław niemogąc zataić ciężaru serca, odpowiedział oziębłość i niewierność Ifigenii. Nadaremnie starał się ten pobożny starzec nakłonić córkę, nadaremnie wszystko poświęcał, ażeby mu oddała rękę. Dobrosław odjechał pogrążony w żalu. Ifigenia, niewierna Ifigenia, z innym w ślubne weszła związki. Dobrosław widząc się być szkaradnie zdradzonym, szukał zemsty, szukał zręcznej okoliczności wypłacenia się za niewierność. Pewnego poranku, skoro się słońce tylko wzbiło do góry, jechał Dobrosław gęstwiną lasu, przez łąki, gaje i spotkał Władysława, męża Ifigenii. »Oto! rzekł sam do siebie, wybiła godzina pomszczenia się.« W tej czarnej myśli wita Władysława, a przekładając mu polowanie na dopiero zbiegłego jelenia, w głąb lasu się z nim

zapuszcza. Ujrzawszy się sam na sam z Władysławem, wyciąga skrycie zawsze przy sobie noszony puginał i śmiertelną zadaje mu ranę, a widząc go tarzającego się we krwi własnéj, zawołał wściekły i donośnym głosem: »Tu Ifigenio masz pamiątkę twojéj niewierności!« Sam zaś spieszy do zamku Ifigeni, wpada do jéj komnaty a ujrzawszy ją, rzecze: »Spiesz do pobliskiego lasu, niewierna Ifigenio! Tyś zraniła to serce (wskazując na swoje) a ja, twemu przebaczyć nie mogłem! Tam ujrzysz Władysława już nieżywego!«—»Już nieżywego?« jękła Ifigenia. —»Tak nieżywego (odpowie Dobrosław) a tyś Ifigenio jego i mojej śmierci przyczyną!« Domawiając te ostatnie słowa, topi żelazo w swojem łonie i ściele się u nóg jeszcze kochającéj. Ifigenia ocuciwszy się jak gdyby ze snu, zawoła: »O Boże, cóż się to dzieje!« a po kilkakrotném powtarzaniu przybywa Grzymisław: lecz zobaczywszy we krwi zbroczonego Dobrosława a przy nim swoją córkę. domyśla się wszystkiego. Ifigenia

przyszedłszy do zmysłów żałuje popełnionéj lekkomyślności, błaga ojca o przebaczenie i obiera klasztor na dozgonne pomieszkanie. »Patrz Eulalio! (rzekł do drugiéj córki starzec) widzisz twoją siostrę, widzisz Dobrosława? są to skutki niewierności, są to skuski zdrady! wystrzegaj się onych, a mając przykład z własnéj siostry twojéj, bierz za naukę być zawsze cnotliwą.« Władysława znaleziono i pogrzebiono z Dobrosławem pod jednym kamieniem na którym wyryto: »*Tak się niewierność wypłaca.*« Eulalia wziąwszy na siebie obowiązek małżeński, była pociechą starca, cnotliwą żoną, matką dla dzieci. Grzymisław żyjąc po tem smutnem zdarzeniu lat siedm, zakończył życie na łonie religii.

Młodzieńce i córki naszego wieku! idźcie przykładem Eulalii, wstępujcie w jéj piękne ślady; a brzydźcie się postępkiem Ifigenii, niewiernéj Ifigenii!

Atenais.

Atenais córka Leontiasa sławnego filozofa w Atenach, urodzona była w roku 400 po narodzeniu Chrystusa. Ojciec jéj łożył wiele starania do ukształcenia wrodzonego talentu córki, która znacznie w naukach postępowała. Co ją przywiodło do Konstantynopola, jakim sposobem na tron wstąpiła? tę nam dzieje zachowały wiadomość.

Cesarz Teodoziusz młodszy. chcąc w ślubne wstępować związki? miał zwyczaj naradzać się często w tym względzie, ze swoją siostrą Pulcherią Augustą. Pulcheria pragnąc uszczęśliwienia brata, przedsięwzięła wybrać z liczby panien pod jéj opieką zostających cnotliwą i piękną osobę, któraby zupełnie odpowiadała oczekiwaniu brata.

Teodoziusz mawiał Pulcherii, że go jedynie taka piękność, i taka tylko cnota uszczęśliwić może, której żadna inna wyrównać nie zdoła, i dla tego gotów się nawet z kobietą niskiego stanu ożenić.

W tym właśnie czasie Atenais ozdobiona talentem i wdziękami nadobnej Wenery, przybyła do Konstantynopola, a to z następujących powodów. Ojciec jej umierając, wyrzekł do niej temi słowy ostatnią swoję wolę: »Atenais, kochana córko, tobie zostawiam tylko sto czerwonych złotych, gdyż twoja piękność, nieporównana cnota i rzadki talent, na najwyższy stopień szczęśliwości wynieść cię mogą.« Piękna widząc się skrzywdzoną, udała się do swoich dwóch braci, którzy cały majątek odziedziczyli, aby za wyrządzoną sobie przez ojca niesprawiedliwość w podziale majątku, chociaż po części wynagrodzić mogli. Lecz serca skamieniałe nie wysłuchały jéj prośby; a gdy Atenais coraz bardziéj nalegała o oddanie spadającéj na siebie części, tak dalece su-

rowo z nią sobie postąpili, że jéj więcéj do swojego domu niedali przystępu.

Nieszczęśliwa Atenais udała się do swéj ciotki, ta była jéj matką, i ze strony siostrzenicy podała do sądu skargę, o wyrządzoną krzywdę od braci, i aby zaś sprawie téj nadać zwrot prędszy, stawiła swą prośbę do Pulcherii, malując najżywszemi kolorami niegodziwość braci, a piękność, cnotę i wyniosłe talenta nieszczęśliwéj.

Te pochwały uczyniły wielkie wrażenie na xiężniczce, która przekonawszy się o istocie, nie zanidbała dowiadywać się z ubocznych stron o moralności téj panienki, a zapewniwszy się o jéj obyczajności, wzięła ją w grono panien, pod jéj opieką zostających i przyrzekła mieć staranie względem wyrządzonéj krzywdy.

Pulcheria przekonywając się coraz więcéj, że Atenais przewyższa we wszystkiem towarzyszki swoje, że z nabytemi umiejętnościami i pięknością łączyła najdroższy skarb cnoty, nieodwlekała donieść swojemu

bratu o téj zacnéj panience, któréj rękę serce jego posiadać jest godne. Teodoziusz widząc spełnione życzenia swoje, rozpływa się z radości, a wierny swemu przedsięwzięciu, pojął piękną Eudoxię (*).

Eudoxia nie zaniedbywała nauki, któréj się z młodości poświęciła. Wyszczególniała się najwięcéj w literaturze greckiéj i łacińskiéj, niemniéj w filozoficznych i arytmetycznych umiejętnościach. Opisywała wierszami zwycięztwo Teodoziusza nad Persami, tłómaczyła parafrazy pierwszych ośm xiąg pisma świętego, i historią męczenników Cypriana i Justyna.

Tak używała nieprzerwanego szczęścia aż do roku 445, w którym nieszczęśliwym przypadkiem ściągnęła zazdrość męża na siebie. Cesarz był jéj dał jabłko nadzwyczajnéj wielkości, ona go posłała Pauliniuszowi, którego dla talentów wielce lubiła. Pauliniusz nie wiedząc zkąd ten podarunek do jego rąk przyszedł, dał go cesarzowi,

(*) Takie jej dano imię na chrzcie.

który wkrótce potem cesarzowę zapytał, co z tym owocem zrobiła? Atenais odpowiedziała, by nie wpaść w podejrzenie, że go zjadła, w tem pokazuje jéj Teodoziusz jabłko, przy ujrzeniu którego wpadła wielkie pomieszanie i odeszła. Z tąd gdy tem większa urosła podejrzliwość, że z Pauliniuszem w ścisłéj przyjaźni żyła, wyjechała do Jeruzalem; bawiąc tam lat kilka budowała kościoły i była matką ubogich. Przeprosiwszy się z mężem powróciła do Konstantynopola; po śmierci cesarza odwiedziła znowu palestynę, gdzie roku 460 umarła.

Braciom nie wypłacała się wzajemnością, owszem starała się o ich dobro i wyniosła ich na najwyższe urzędy. Zamiast wyrzucać im srogie postępowanie z siostrą, mawiała jak izraelski Józef do swoich braci: »Gdybyście mnie nie byli przymusili opuścić moją ojczyznę, nie byłabym w Konstantynopolu i niemiałabym sposobności okazać miłości i przywiązania, które ku wam w sercu mém noszę.«

PODRÓŻ.

Julia w szesnastéj wiośnie wieku swego była zachwycającą jak bogini miłości, niewinną jak dziécię. Od tego wieku aż do lat czterdziestu stała się igrzyskiem cierpień i miłośnych roskoszy: zaślubiła męża, który. ją serdecnie kochał, i w tém owdowiała W trzydziestym ósmym roku żałobne po nim przywdziała szaty, i tak żyła rok cały; później zaś w cichym smutku; lecz ta to pora, na którą się każdy uskarza, a która jednak pocieszycielką wszystkich ludzi, a najszczególniéj nieszczęśliwie kochających zostaje, otarła łzy z jéj lica. Jednakże, mogą li w sercu miłością pałającem wyschnąć na zawsze strumienie łez lubych? Przyzwyczajonemu sercu do czarującego życia, spokojne życie zadość uczynić nie zdoła.

Julia była piękną, pomnażała wdzięki swoje strojem w próżnej nadziei zniewolić serca do siebie; lecz postrzegała to aż nadto jasno, że w każdem sercu nietrwałe tylko uczucia i nieprawdziwą wzbudzała miłość. Mniemała, że w jej wieku uciech jeszcze użyć wolno, jednakże nie w tej pochlebnej nadziei, jakoby miłość wlewać usiłowała, która konieczną Julii zdawała się być żądzą. Niemiły stan swego pożycia postanowiła spomnieniem przeszłości swojej cokolwiek uprzyjemnić; w tym celu przedsięwzięła podróż do K...x dawnej wioski swojego ojca, która po utracie rodziców jej, cudzem stała się dziedzictwem, gdzie najszczęśliwsze godziny miłości upłynęły. Nowi posiadacze tego spaniałego miejsca odjechali; Julią puściła się nazajutrz w przedsięwziętą drogę i z zachodem słońca stanęła na pożądanem miejscu. W lichej i ubogiej przenocowała karczmie, i ze wschodzącą jutrzenką udała się do pięknego ogrodu, który niegdyś należał jej ojcu. Tu pobiegła na brzeg mruczącego strumienia,

otoczonego cienistemi drzewy, gdzie po pierwszy raz łudzący głos usłyszała miłości, lecz miasto spaniałych drzew zobaczyła ruiny, a mruczący potok zamienił się w bystrą, szumiącą rzekę. Tu westchnęła głęboko, zwróciła swe kroki ku kaplicy, gdzie Alfons swą miłość uroczystą stwierdził przysięgą, i na zwaliskach kaplicy stał nagrobek. Serce owdowiałej głęboko przy tym wzruszyło się widoku, łzy cisnęły się do oczu, sama zaś zrywając kwiatki rzucała je na pomnik, i odeszła pogrążona w smutku, do małej doliny, na której w pierwszych dniach swojego zamężścia szczęśliwe spędzała chwile

Gdy jeszcze Julia dzieckiem była, mnóstwo drzew cienistych zdobiło tę dolinę, kwiaty oddychały wonią, trawa bujała, a ściśle spojone serca zastanawiały się nad dziełami stwórcy. Teraz zniknęły drzewa, powiędniały kwiaty, a trawę powarzyły słońca promienie. »Ach!« rzekła »to tak powabne miejsce pustynią się stało. Oto jest obraz życia ludzkiego! Gdy czas uczucia

miłości zniszczył, gdy w nas najsłodsza obumarła tęsknota, czemże jest natenczas życie nasze?«

Idąc dalej do brzozowego lasku, ujrzała na czterech słupach okrągłą kaplicę, na któréj te były słowa: »Poświęcona uciechom czterdziestoletnim.« Julia zbliżyła się, lecz daremnie szukała między obrazami obrazu miłości. »Jeżeli miłość nie łączy się z ukontentowaniem (rzekła), któż może poświęcić się radości bez zarumienienia lica swego?«

Długo przedzierała się jeszcze przez gęste krzaki koło strumienia, a nareszcie ocknąwszy się z głębokiego zapomnienia, wyrzekła: »Pójdę wyszukać świątynię miłości, przecież może jeszcze nie zastanę zwalisk.« Wkrótce stanęła na ulubionem miejscu. Ta świątynia stała między różami, wiosniana minęła już pora, już nie było pączków, róże odkwitły, a liście obleciały. Zbliżywszy się do statui Kupidyna rzucił jéj wiatr pod nogi gałąź tarniny, a z bliskiego drzewa

spadło jéj kilka zwiędłych listków na głowę. Ponuro spojrzała na różane krzaki, i podjęła tarninę, spojrzała i na drzewa z wiosnianéj ogołocone ozdoby. »Jakaż nauka!« wyrzekła, »smutne listki! przypadkiem w moje dostałyście się ręce, użyję was. O miłości! wszystko w około twej świątyni oznacza, że wzgardzasz kwiatami jesieni, i gdy czas kwitnący róży upłynie, wtenczas otaczają cię głogi. Bóg cię żegnaj!..«

Julia odeszła spieszno, lecz zatrzymana gałązkami drzew laurowych, między któremi stał kościół Apolina, zastanowiła się nad ustawiczną ich zielonością i rzekła: »Was jesień nie zatrwoży!« Raptownie zabłysnął w jéj sercu promień boskiéj nadziei, wbiegła do świątyni, i rzuciwszy się przed posąg Apolina w te odezwała się słowa: »Boże harmonii! twoim poświęcam się usługom, twe wieńce nie więdnieją nigdy, jak róże jednakowe zostają w każdéj porze.«

Złożywszy Julia przed Apolinem przysięgę, opuściła świątynię z pogodną i wesołą twarzą. Powróciła do miejskiego pomieszkania, wierna swemu postanowieniu, wyszczególniała talent pięknemi sztukami, i to tak było jej miłem ukontentowaniem, jakiego jeszcze dotychczas niedoznawała.

WIERSZE.

Oda do Wojny.

Cóż to mym przelękninonym obejmuję
wzrokiem?
Jakiż potwór zuchwałym przybliża się kro-
kiem?
Jakiż to smutny orszak przedemną się snuje?
Zdrętwiałe moje członki zimna dreszcz
przejmuje.
Pocóż zsiniałe widma chcecie i mnie dręczyć?
Przestańcie niezbłagane całą ziemię męczyć!
Przestańcie!.. lecz co mówię... o nadto okrutne!
Nigdy was nie nasycą te ofiary smutne!
Zbliżają się... drżę cały... ach gdzież się ukryję?
Przestraszone, ucieka to wszystko, co żyje!
U stóp jego niewinność skrępowana leży,
Z rozczochranemi włosy, w skrwawionej o-
dzieży;

Wznosząc swe słabe ręce, przebaczenia woła:
Lecz próżno, nikt jéj z więzów uwolnić nie
zdoła!
W kajdany okowana, zdala idzie cnota,
Przemoc łamie przeszkody, za nią chciwość
złota.
Towarzyszą mu hurmem występki i wady,
I okropne po sobie zostawiają ślady:
To Belona! poznaję, wyschła i wybladła,
Okropniejsza niż wszystkie straszliwe wi-
dziadła;
Wzrok ponury obwisła okrywa powieka,
Wszystko przed nią, i zbrodnia i cnota ucieka!
O smutna wojno, matko nieszczęść i zgryzoty!
Kogóż twoje straszliwe nie dosięgną groty?
Gdzie tylko rozsypujesz trujące twe jady,
Śmierć za tobą i smutek postępuje blady.
Gorsze od saméj śmierci, o nieszczęść na-
rzędzie!
Cóż cię wstrzymać potrafi w burzliwym za-
pędzie!
Na około pochwalne okrzyki się wznoszą,
I gdy wszyscy ofiary do jéj tronu znoszą,

Jedną ręką krzyż trzyma posoką spluskany,
Drugą roznosi wszędzie śmierć albo kajdany.
Przybywa przed tę panią, która mieczem
włada;
Ugina swe kolano, i na twarz upada.
»O pani! — rzecze — któréj wielkość sława
głosi,
»Ta co się lekkiem skrzydłem w powietrzu
unosi,
»Do nieśmiertelnéj chwały zawód się otwiera,
»Jest ziemi, od któréj nikt dani nie odbiera,
»Tego hołdu, téj jeszcze potrzeba ci sławy,
»Niech okrąg ziemski żyje pod twojemi
prawy.«
—»Czuję — rzecze Belona — że twa wielka
dusza,
»Niezgięta przeciwnością, lecz męztwo ją
wzrusza,
»Czuję, że sława jeszcze nad wszystko ci droga,
»I kogóż ja nie zniszczę, ja Belona sroga?
»Gotowa miecz utopić w pierś własnego brata,
»Tron mój wzniosę na gruzach zniszczone-
go świata!«

Więc potwór nowe kraje wskazuje Belonie
Gdzie niewinność i cnota siedziały na tronie.
I gdzie wiara z prostoty serc prawych wy-
pływa,
Wojna przebyła morza. Już się krew rozlewa,
Napełniają powietrze najdotkliwsze jęki,
Słyszę chrzęst srogiej broni, słyszę kajdan
brzęki,
Przewodniczy bezbożność i postrach wy-
bladły,
Spłonęły możne miasta, świątynie upadły,
Zewsząd ucieka pokój, a rozpacz przychodzi,
Znikła już i nadzieja co nieszczęścia słodzi.
Potwora nadto mściwa zajadła i wściekła,
Straszne ze spiżu paszczę za sobą przywlekła.
Wszystko okropną szatę zniszczenia przybiera,
Już się błyszczy żelazo, tarcz się z tarczą
ściera,
Szczęka pałasz, grzmią działa, latają pioruny,
Wstrzęsła się ziemia, oba zadrzały bieguny.
Wszędzie się teatr smutku i nieszczęść o-
twiera,

Okrócieństwo jéj wkrótce ofiarą się staje,
Upada, i jęk tylko ponury wydaje!
Tu wściekłością przejęta matka zapalczywa,
Pierś własnego dziecięcia sztyletem prze-
szywa.
»Uwalniam cię od męki tém słodkim żelazem,
»Wkrótce już dusze nasze połączą się razem,
»Znowu się kochać będziem,« — to rzekła
a blada,
Obok ciała dziécięcia na ziemię upada!
I obumarłe oczy jeszcze raz otwiera!
Zlepia usta z ustami, i wtedy.... umiera....
O zbyteczna rozpaczy! o czułe widoki!
Wszędzie już płyną smutne krwi ludzkiéj
potoki,
Nic nie masz, wszystko znikło i wszystko
zniszczone,
Kurzą się tylko wioski niedawno spalone,
Ale gęste wyziewy unoszą się w górze,
A dzień ciemności nocy, wydarły naturze.
Już łyski przedzierają i czarność obłoku,
Turkot grzmotów pomnaża okropność widoku.

Już i sercem Belony drząca bojaźń włada,
Wszysko słabe przed Twórcą w pokorze upada.
Tak, jest Bóg niewinności co wsparcia użycza,
I przed którym napaści drzy ręka zbrodnicza,
Jest Bóg zemsty, i którą pobłażywszy chwile,
Wnet da uczuć swe razy, najezdnika sile.

Do Julii.

Ta róża co tak pięknie listeczki rozwiła,
Której kolor zachwyca, jak niebianów siła,
W której tyle powabów i tyle prostoty,
Obrazem jest twych wdzięków, twéj duszy,
twej cnoty.
Ona czułą; któż tkliwość może ująć tobie?
Ona miłą, ten przymiot jest i w twej osobie,
Ona piękna, łagodna, oraz i nadobna,
Któż powie, że Julia nie jest jej podobna?
Jako róża rozkwitła w przedziwnej urodzie,
Królowa, wdziękiem swoim ćmi kwiaty
w ogrodzie,
Tak Julio nadobna gdy wdzięczysz twe lice.
Wszystkie blaskiem twéj twarzy gasisz ró-
wiennice;
Więc choć róża tyle ma wdzięków w swéj
ozdobie,
Jednak wdzięki swojemi nie wyrówna tobie.

UCINEK.

Do Piotra i Pawła.

Komu zazdrościć Pawle, czyli Piotrze
tobie?
Całujesz obraz Chloi, a Piotr ją w osobie;
Chcecie, abym wam szczerze wyjawił me
zdanie?
Obydwaj całujecie, ale — malowanie.

DOKUMENTA

mające związek z osnową Maryi.

I.

Działo się w królewskim zamku w Warszawie, w sobotę przed uroczystością świętego Egidiusza opata, to jest dnia 28 sierpnia, roku pańskiego tysiąc siedmset siedmdziesiątego trzeciego.

Przed urzędem i niniejszemi aktami grodzkiemi, starościńskiemi, warszawskiemi, stanąwszy osobiście jaśnie wielmożny Jakób hrabia Komorowski, kasztelan santocki; nowosielski, podlisiecki starosta, przedłożył temuż urzędowi i jego aktom swój manifest, w języku polskim napisany, następującej treści. Powszechne nieszczęście i rozmaite

klęski po całym kraju rozszerzone, położyły tamę wymiarowi sprawiedliwości w całem prawie królestwie, i wstrzymały pokrzywdzonych od wnoszenia skarg bezskutecznych chociaż ich krzywdy były nieznośne i całemu społeczeństwu niebezpieczeństwem groziły. Prócz tego miłość, którą jaśnie wielmożny Stanisław hrabia Potocki, starosta bełzki od dawnego już czasu ku mojéj córce powziął, miłość nie dająca się odstraszyć przedstawieniem dobrze wprzód obliczonych trudności, jakie ztąd wyniknąć mogły, ta miłość przyzwoitym sposobem wzniecona, statecznie pielęgnowana, nie znajdująca się wreszcie niżej jego stanu, albowiem obie przezacne rodziny były już od dawna z sobą spokrewnione, wszelkiemi duchownemi obrzędami prawnie potwierdzona, nie płonną dawała otuchę, że jw. Franciszek Salezy Potocki, wojewoda kijowski ojciec pomienionego jw. starosty bełzkiego, po spełnieniu na dniu 13 lutego 1771 r. szkaradnéj zbrodni (niżej obszernie opisanej) ochłonąwszy

z pierwszego gniewu, słusznością i prawami przekonany, zwyciężony sumieniem, pobudzony wreszcie opinią powszechną: że przez niego dany był rozkaz do wykonania tej zbrodni, chcąc udowodnić swoję niewinność, a temsamem zbić to krzywdzące o sobie mniemanie, niezaniedba zwrócić mężowi nieprawnie uwiezioną małżonkę, rodzicom gwałtem wydartą córkę, i uznać ją za żonę prawną swego syna, jak mu to jego powinność nakazowała. Niemniej można się było spodziewać po jw. staroście bełzkim, że powróciwszy z zagranicy, pierwsze swoje staranie w to włoży, aby wynaleźć ukochaną i wybraną przez siebie małżonkę, z czegoby się okazało, ile ma poważania dla tych którzy mu rodowitością równi, ile posiada tęgości charakteru, tego przymiotu wilekodusznych, i ile sobie ceni wierność małżeńską, tylu obietnicami stwierdzoną, a co największa, dobrowolnie i rozmyślnie przed Bogiem zaprzysiężoną. Oto przyczyny które mi zamykały usta tylekroć do przedło-

żenia krzywdy mnie i całemu społeczeństwu wyrządzonej gotowe, i powściągały rękę, do podania urzędownie napisanego manifestu wyciągnioną. Lecz gdy miasto spodziewanej poprawy, tak słuszne zobowiązania w niepamięć poszły, bo nawet ze wzgardą prawie odrzucone zostały, gdy na rozsądne i łagodne przedstawienia zacnych przyjaciół, niedano dostatecznej odpowiedzi, a żądane z ich strony, z naszej zaś z powolnością zachowane milczenie o całej tej sprawie, po niedotrzymaniu z ich strony obietnic pokazało się oczywistym podstępem, niemającym innego celu, jak tylko puszczenie tej sprawy w przewłokę; ustaje tedy długiem oczekiwaniem znękana cierpliwość, a boleść powiększona przenikając wskroś serce, zmusza mię ogłosić przed całym światem moją żałobę. Słuchajcie i patrzcie wszyscy! z jaką zuchwałością rozpasana przemoc, wsparta bogactwy targnęła się na zdeptanie równości, jak zemsta dumą rozdmuchnięta niewzdrygała się dla dogodzenia swej żądzy

okrutną z niewinności zrobić ofiarę, jak szkaradnie prawa boskie, duchowne i świeckie, miłości bliźniego i pospolitego bezpieczeństwa są pogwałcone tą od wieków niesłychaną zbrodnią, której wierny opis zę wszystkiemi szczegółami, jakie ją poprzedziły, dla oczyszczenia złośliwą obmową czernionéj niewinności mojéj i dla wykazania sprawcy tej zbrodni, pod sąd powszechny oddaję.

Bliskie sąsiedztwo i długoletnia przyjaźń z domem jw. Potockiego wojewody kijowskiego, w której ja niniejszą żałobę zanoszący, zostawałem, łatwo nastręczała sposobność jw. staroście bełzkiemu częstego widywania najstarszéj córki mojej imieniem Gertrudy, i rozpatrzenia się w jej przymiotach, usilnem rodziców staraniem i hojnym nakładem na wychowanie odpowiedne przezacnemu jej rodowi do wysokiego doskonałości stopnia doprowadzonych. Te to przymioty, które jéj szacunek powszechny zjednały, tak mocno ujęły serce jw. starosty, i tak wysoko przez niego były cenione, iż

wróżąc sobie najpewniejsze na przyszłość szczęście, skoroby ją za towarzyszkę życia uzyskał, nieomieszkał oznajmić nam natychmiast, że pała ku niej najczystszą miłością i po dokładnej rozwadze, powziął myśl stanowczą starać się o jej rękę. Sama przyzwoitość i obowiązki należne przezacnego rodu młodzieńcowi, niepozwalały mi odrzucić tak uroczyście i dobitnie oznajmionego żądania jw. starosty. Wszelako niezaniedbałem z mojej strony udzielić mu zbawiennéj rady, aby przedewszystkiem odkrył ten zamiar swoim rodzicom i zastosował się w téj mierze do ich woli. Tej rady nieprzyjął jw. starosta, dając tę pozorną przyczynę, że jest wprawdzie obowiązany powodować się wolą rodziców we wszystkich innych rzeczach, lecz co się tyczy wyboru przyszłej towarzyszki życia, sądzi to za rzecz własnéj swej woli, upraszał przytem najusilniej, aby tego postanowienia jego nierozgłaszać, i upewniał nas że nie może ztąd wyniknąć nic złego, albowiem ojciec nieraz mu przy-

rzekał dać przyzwolenie swoje na własny jego wybór, a na przypadek, gdyby tenże dla jakiejbądź przyczyny przyzwolenia swego niedał, natenczas będzie można usunąć tę przeszkodę, częścią przez niepodobieństwo cofniena tego, co się już raz stało, częścią przez usilne zabiegi. Jednakże dałem czas namyślenia się dobrze tak jw. staroście, jako i mojej córce; pozwoliłem im widywać się z sobą w naszej tylko, lub przyjaciół naszych przytomności; i ociągałem umyślnie blisko pół roku, mimo usilnych i ustawicznych nalegań jw. starosty, spełnienie jego żądania, w nadziei, że ta rzecz tak długo się ciągnąca, doniesie się wreszcie do domu jw. wojewody, i rodzice dowiedzą się o zamiarze swego syna. A gdym stosowną ku temu celowi otrzymał wiadomość, że jw. wojewoda dowiedziawszy się o częstem bywaniu swojego syna w domu moim, kazał wołać do siebie koniuszego i innych sług, którzy mu w tych odwiedzinach towarzyszyli, grożąc pierwszemu utratą łaski i służ-

by, drugim zaś karą surową, jeśliby się ważyli rozgłaszać tę okoliczność, która im tylko samym wiadoma była; przecież ani synowi swemu niezakazał bywać w moim domu, ani sługom słuchać jego rozkazów, natenczas wniosłem, ufając pwyższym zapewnieniom które mi dawał jw. starosta, że chociaż jw. wojewoda wie o skłonności swojego syna, jednakże nie zachodzi w tem nieprzyzwoitości i zdaje się na to przyzwalać, radby ją tylko, dla jakowychś jemu tylko wiadomych przyczyn, zachować przez czas niejaki w skrytości. Przekonawszy się w ciągu dawania przestróg, że jw. starosta w zamiarze swoim jest niewzruszony, a jego miłość najmniejszej nie ulega zmianie, z drugiej zaś strony ujrzawszy w córce mojej równą ku niemu przychylność, przyrzekłem mu jej rękę. Po odbytych więc zaręczynach i otrzymanem od przewielebnego oficiała chełmskiego indulcie, na żądanie strony obojej (jak świadczy list jw. starosty, pełen uprzejmych nalegań), odbył się po kilku ty-

godniach w przytomności miejscowego parocha uczciwie i uroczyście ślub. Wzywam w tem miejscu wszystkich, niech wolnym i nieuprzedzonym umysłem, po dokładnem rozważeniu wszystkich szczegółów, rozstrzygną, czy rodzice, którzy dzieci swoje z wrodzonego popędu kochają, a przeto troskliwie ich szczęścia pragną, powinni się odstraszać początkowemi drobnemi trudnościami, na których rzadko gdzie zbywa, i niedawać swego przyzwolenia na połączenie dwojga serc związanych czystą i stateczną przychylnością? a szczególniej wtedy, gdy równość urodzenia i wszelkich zaszczytów w ojczyznie, dojrzały wiek oblubieńca i według praw wszelkich należąca mu wolność obierania sobie stanu i przyszłej życia towarzyszki, nadto, wszelkie podobieństwo, że ojciec nie jest temu przeciwny, gdy mówię te i tym podobne okoliczności upewniały ich, że w takowem postępowaniu nic złego i nieprzyzwoitego zdarzyć się niemoże... Jednakże pokazało się po tym że jw. wojewoda nad-

spodziewanie całkiem innego był w tej mierze mniemania; albowiem skoro się o ożenieniu syna dowiedział, wpadł najprzód w oburzenie i gniew tak przeciw synowi, jako i jego przyjaciołom; wkrótce potym przybrał postać udobruchanego, jął synowi radzić aby się nie smucił, szczególniej zaś aby nieokazywał najmniejszego zmartwienia przed matką; a że od dawnego czasu przerwane z naszej strony bywanie w domu jw. wojewody mogło w synu wzniecać niejakie podejrzenie, pokazał mu więc swój list własnoręcznie do nas pisany, w którym nas do swego domu zapraszał, i kazał mu napisać podobnyż list do swej żony z usilną prożbą aby przyjechała, i wyrazić w nim, że rodzice nic jeszcze niewiedzą o tem co się stało. Z listem swojego syna na jego rozkaz pisanym posłał jw. wojewoda sześciokonnym powozem swojego dworzanina nazwiskiem Wilczka, zatrzymawszy swój list u siebie. Ten chociaż zapewniał, przybywszy do naszego domu, że przyjechał bez

wiedzy jw. wojewody i tylko na rozkaz jw. starosty, jednakże ja mając w poprzednich wiadomości pewność, że jw. wojewoda wie o ożenieniu syna, a w jego do żony liście właśnie przeciwnie wyczytawszy, domyślałem się łatwo że to rzecz umówiona, odezwałem się tedy w te słowa: Gdyby mię o to prosił jw. wojewoda, natenczas przywiózłbym własnym moim powozem najukochańszą córę moją, a jego synowicę w dom jego, dla złożenia mu mego uszanowania. Chcąc się przekonać o prawdzie wyprawiłem umyślnego do jw. starosty posłańca, wywiadując się od niego jak rzeczy stoją. Jw. starosta będąc już pozbawionym wolności pisania czego innego, a przy tem pilnie strzeżony. odpisał mi ołówkiem te słowa; »Co się dzieje? i na jaki koniec posłano tego człowieka z powozem? o tem zgoła nic niewiem. List ten kazał mi pisać ojciec, który pokazywał mi oraz list swój do jmćpaństwa zapraszając ich w dom swój. Zresztą nic nie wiem. Ojciec mój ciągle mi

tylko powtarza: bądź dobrej myśli, nie daj po sobie poznać zgryzoty, aby tego matka niepostrzegła. Jednakże wybadywa mię przez jednego z ojców trynitarzy. Jak długo trwać będzie, i dokąd zmierza to fałszywe ze mną postępowanie? niewiem. Bardzo się dobrze stało żeście niedowierzali tej posyłce, a ja mocno upraszam dać pilną baczność na osobę, od której, chociaż tu nieobecnej, moje życie i zdrowie zawisło.« Skorom ten list dnia 4 lutego otrzymał, postanowiłem dla uniknienia podobnych pokuszeń na przyszłość, wyjechać pode Lwów do dóbr moich Nowesioło, zwłaszcza, że z powodu słabości mojej żony trzeba mi było mieć w bliskości lekarzów. Lecz oto przed samym wyjazdem przysyła jw. wojewoda umyślnego posłańca, z listem tym samym który pokazywał pierwej synowi (jakto poprawiona data oczywiście dowodzi) i zaprasza mię z całą familią na ostatki zapust do siebie. Chociaż tą razą poprzednicza przestroga dana mi w liście jw. starosty słuszny natrącała

domysł, że tu idzie o to, aby, po nieudaniu się od pierwszego zamachu, przyprowadzić go do skutku innym sposobem; sądziłem jednak, że zbliżenie się przyjacielskie i wyłuszczenie ustne nienagannych powodów naszego postępowania potrafi ułagodzić choćby największym gniewem oburzone umysły, postanowiłem więc korzystać z tej sposobności. Odprowadziwszy tedy moję coraz słabszą małżonkę do pomienionych dóbr, i przedsięwziąwszy środki ku jej uzdrowieniu, udałem się sam w drogę do wojewody, wysławszy przodem dworzanina mego do Krystianopola, aby mi tam zamówił gospodę. Ten skoro się tam na miejscu pokazał, obskoczyli go natychmiast dworacy jw. wojewody, i przetrząsali do koszuli, wywiadując się czy nie wiezie jakich listów. Spatrzywszy porę sposobną, wyrwał się on od nich, i przybiegł do mnie opowiedzieć co się z nim działo. Przerażony taką nieludzkością i nieupatrując sposobu złagodzenia umysłów zemstą pałających, oddałem się nadziei, że

je sam czas ostudzi, i wróciłem z drogi do pomienionych dóbr moich pode Lwowem, niespodziewając się, aby z obrazą praw krajowych jakakolwiek napaść wydarzyć mi się mogła. Lecz nad wszelkie spodziewanie rozpasana zuchwałość urągająca się z praw najświętszych, nie zostawiła mię na długo w spokoju. Albowiem dnia drugiego po moim powrocie, około dziesiątej godziny w nocy, tłum ludzi zbrojnych napada mój dom, odmienia mowę udając się za Moskalów, biciem i groźbą rozpędza służbę i poddanych, którzy według zwyczaju odbywali straż nocną, otaczają ówczesne moje mieszkanie tak, że żadnej drogi do ucieczki niebyło; kilku z nich w dziwacznym stroju i z twarzą zaczernioną wpada z przeraźliwym wrzaskiem powtarzając te słowa: *Kondraty!* (konfederaty) *rubi! wiaży! koły!* do pokoju, w którym siedziałem ja z moją małżonką i córką przy stoliku, strzelają do nas kulami, które jednak osobliwszem zrządzeniem opatrzności w ścianach pokoju utkwiły; a gdy ochraniając

żonę moję i córkę do drugiego pokoju ich prowadziłem, strzelają do mnie raz jeszcze tak blisko, że kula przetarła mi włosy na głowie. Szlachetnie urodzonego Łukasza Trzaskowskiego, który się pod ówczas u mnie znajdował, i usiłował zamknąć drzwi do drugiego pokoju wiodące, a tym sposobem wstrzymać tłum cisnący się, okrutnie kaleczą w chwili gdy po wyważeniu drzwi przez nich, zasłaniał moją na ziemię obaloną małżonkę przed ich ciosami, jak to poświadcza urzędownie zrobiona obdukcia ran tak jemu jako i innym sługom zadanych, i obejrzenie sądowe kul w ścianach pozostałych. Inni podziurawili bagnetami pawilon nad łóżkiem. Nakoniec postrzegłszy moją córkę, małżonkę jw. starosty, stojącą między osobami płci swojej i drzącą z przelęknienia, zawołał jeden między nimi, który ją zapewne znał, te słowa: *Woźmit jei! ona znajet o kondratach* (weźcie ją, ona wie o konfederatach) poczem porywają ją z sobą, bez względu na jej płeć delikatną i wiek młodociany, i wlo-

ką najokrutniejszym sposobem między końmi kilka staj, jak to poświadczały ślady jej stóp na śniegu zostawione. Dalej zaś uwożą ją bez futra lub jakiejkolwiek przed zimnem osłony, czyto sankami które we wsi widziano, czy też innym sposobem, o czem dokładnie wiedzieć nie można. Przestraszona tak niespodzianym napadem małżonka moja, niemogąca uciekać dla słabego zdrowia, przywlokła się z wielką trudnością do bramy, a z tamtąd do najbliższej chaty jednego z poddanych, padając raz poraz w zaspy śniegu wiatrem nawiane. W mniemaniu, że godzą na życie i majątek nas wszystkich, przebiera się aby ją niepoznano w najlichszą odzież wieśniaczą, i każe się zawieść temuż chłopowi do Lwowa, aby przynajmniej swoje życie ocalić mogła. Ja z mojej strony skoro postrzegłem, że mi moją kochaną córkę zrabowano, tknięty najgwałtowniejszą boleścią serca, zebrałem naprędce moich rozproszonych ludzi, i posłałem ich za rabusiami w pogoń; lecz nadaremnie; albowiem oni po-

dzielili się zaraz za wsią na kilka oddziałów, i rozbiegli się w różne strony, aby zniweczyć wszelkie usiłowania pogoni. Ciemność nocy w tej porze roku, dała im sposobność oddalenia się tak, że ludzie moi, niedowiedziawszy się dokąd się rabusie z moją uwiezioną córką udali, powrócili do domu.— Możnaż się było spodziewać, że jeszcze coś okrutniejszego nasze rodzicielskie serca dotknie, jak to gwałtowne wydarcie córki z taką troskliwością wychowanej, obok jej wysokiego urodzenia wszystkiemi cnotami ozdobionej, będącej właśnie w tym wieku i stanie, w których można się było po niej spodziewać tak pożądanej naszych długoletnich trudów nagrody? A jednak zemsta niczem nieubłagana, i nienasycona osiągniętym skutkiem najokrutniejszego przedsięwzięcia, wynalazła podwójny środek pomnożenia naszych umartwień do rozpaczy nas przywodzących. Pierwszym z tych środków był manifest zrobiony przez jw. starostę bełzkiego, dnia 6 lutego w Krystianopolu

przed xiędzem, którego tylko imię Gabriel wymieniono, w przytomności dwóch wynalezionych świadków, mocą którego uznaje tenże swój małżeński związek, o którego ważności wątpić niemożna, za nieważny, ogłasza swój indult, o który w liście swoim tak nalegał za zmyślony, łącząc do tego najdotkliwsze, i cienia prawdy niemające, naszą zaś uczciwość nader krzywdzące zarzuty. Drugim środkiem była dawniej już szerzona i dotąd jeszcze bezczelnie powtarzana pogłoska, której żaden człowiek rozumny wiary dać niemoże: jakoby rodzice sami własną swoją córkę uprowadzić i skryć kazali, gdy przeciwnie my sami mimo usilnych starań i nieszczędzenia wydatków nie tylko jej wynaleźć niemożem, lecz żadnej nawet zasięgnąć pewności, czy ona żyje, lub nie.

Któż z tego rzetelnego wyłuszczenia powszechnie wiadomych okoliczności nie odgadnie prawdziwego tej zbrodni sprawcy? Mogłożbyto być, aby mąż tak dostojny, któ-

rego zdanie powszechne prawdopodobieństwem wsparte jako sprawcę tej zbrodni potępia, nie czuł się obowiązanym, lub niemiał dostatecznych środków, do ratowania sławy swojej (jeżelibyto oszczerstwem być miało) przez wykrycie prawdziwych tej zbrodni sprawców, i pokazanie nam stroskanym rodzicom innej drogi do odzyskania ukochanej córki? Lub czy godziwa i przyzwoita, aby małżonek swoję małżonkę, której za usilnem staraniem i poprzedniczą rozwagą wierność zaprzysiągł, i którą własnoręcznie najognistszemi wyrazami o stateczności przywiązania swego upewniał, obojętnie, bez iskry czucia. niepewnemu losowi zostawił? Aby nie użył jak najrychlej środków jakie ma pod ręką, i nie wyrwał jej z tak nieszczęśliwego położenia? Wszystko przeciwnie postrzegać można w postępowaniu jw. starosty, albowiem tenże oddala od swego boku ludzi podejrzanych o udział w tej zbrodni, dawszy zaręczenie, że jeśli rzecz tego wymagać będzie, przystawić ich niepomieszka,

a tem samem w wywiedzeniu się o losie mojej córki od owych wskazanych przezemnie ludzi, i wymierzeniu sprawiedliwości na zbrodniarzach staje mi na zawadzie, kładzie więc kres mojej cierpliwości, która jedynie na szlachetnem przypuszczeniu mojem, o jego stałości dla żony, polegała.

Tak tedy nieznośnem okrucieństwem rozzuchwalonej przemocy uciśniony, wzywam po Bogu, mojej najpierwszej ochronie, waszego miłosierdzia wy wielkoduszni monarchowie, wy, którzy światem rządzicie, i macie od Boga sobie powierzoną władzę dla ratowania uciśnionych i prześladowanych. Wy, którzy biorąc władze przyrzekliście zabezpieczyć wolność każdego z waszych poddanych, przywróćcie mi dziś moją, przez udzielenie mi skutecznej pomocy. Ciebie w szczególności najjaśniejszy Stanisławie Auguście! mój najmiłościwszy królu i panie błagam o pomoc. Was wszystkich zacni spółobywatele, was rodzice, którzy mocą praw przyrodzonych kochacie wasze dzieci!

Z tak bezprzykładnem i nieukróconem zuchwalstwem na mojej osobie popełniona zbrodnia, powinna wzbudzić waszą spółlitość o bezpieczeństwo własne. Wzywam nakoniec was wszystkich, którzy mi stanem równi jesteście, i którzy litując się mej krzywdy, zechcecie mi podać rękę pomocną. Klęska bowiem narodu jest klęską każdego obywatela, a skrzywdzenie jednego uważać wypada za obrazę równości, że nierzekę za zupełne jej zniesienie. Niegodziwość przeciw jednemu wymierzona, dosięgnąć może i drugich. Bogdajby ta żałoba nasza o pokrzywdzenie szlacheckiej równości i zuchwałe praw pogwałcenie, stała się powodem do postanowienia sprawiedliwej i najsurowszej kary na sprawców i wykonawczy tak nieludzkiego czynu, takowe to postanowienie położyłoby tamę najmocniejszą bezprawiom; a bogdajby też przyczyniło się do powrócenia nam stroskanym rodzicom wydartej córki.

Pragnąc oglądać skutek sprawiedliwych moich żądań, protestuję urzędownie niniej-

szem przeciw wyżspomnianym osobom, które niegdy jw. Franciszkowi Salezemu Potockiemu ręką i radą były pomocne, których imiona i nazwiska nateraz się nie wymieniają, lecz w swoim czasie wymienione będą, a to: o lekceważenie szlacheckiej równości, i jawnego zamiaru jej obalenia, o gwałtowny napad mego domu przez umyślnych na to wysłańców, o najniegodziwsze targnienie się na nasze życie, o pobicie i zranienie szlachetnie urodzonego Trzaskowskiego, i okrutne z naszymi ludźmi obejście się, o rabunek, uwiezienie i ukrycie naszej kochanej córki, tak, że do tej chwili niewiemy czy żyje (*), o niegodziwe i fałszywe oczernienie naszej czci dotąd nieskalanej, i podejmuję się udowodnić to wszystko.

(*) Porwana zadusiła się kiedy ją wieźli, bo aby niekrzyczała, zawiązano jej usta; rabusie znalazłszy ją nieżywą, rzucili w odnogę Bugu koło Jastrzębicy.

p. w.

Jakób hrabia Komorowski kasztelan santocki, starosta nowosielski i podlisiecki, ręką własną. Złożył w przygotowanym odpisie, i własną ręką podpisał. (L. S.) Puchała, ręką własną. Czytał Swieżawski.

II.

Między jaśnie wielmożnymi jmć państwem Jakóbem na Susznie i Niestanicach hrabią z Liptowa i Antoniną z hrabiów z Werbna Pawłowskich Komorowskimi małżonkami; nowosielskimi, podlisieckimi starostami z jednej, a jaśnie wielmożnym jmć panem Stanisławem z złotego Potoka Potockim, starostą bełzkim, jaśnie wielmożnych Franciszka Salezego i Anny obojga z złotego Potoka Potockich wojewodów, jenerałów ziem kijowskich małżonków synem z drugiej strony, staje w niżej opisanych pun-

ktach intercyza ślubna. Iż jaśnie wielmożny Potocki starosta bełzki wielkich antenatów znamienitemi w ojczyznie zasługami zaszczyconych, pierwszemi honorami wyniesionych potomek domu Potockich przeszło już pięcią wiekami najpierwszemi godnościami wsławionego władzą kilkudziesiąt walecznych najwyższych wodzów zaszczyconego, senatorskich krzeseł więcej pięciudziesiąt zaszczytem sławnego, pierwszemi ministeriami i urzędów koronnych wielością znakomitego, dziełami rycerskiemi w boju i pokoju, chwalebnemi czynami nieprzerwanie zawsze słynącego, namiestniczą godnością królów w trzech wiceregach wygórowanego. w zagranicznych nadto królestwach wysokiemi honorami znamienitego, dziedzic imienia wielkiego Potockich i krwi przezacnej z pierwszych familij polskich z xiążęcych domów, królewskich tronów i wyniesionych w Europie monarchów, wypływającej i podział mającej sukcesor, a ze wszech miar godnych rodziców jaśnie wielmożnych woje-

wodów jenerałów ziem kijowskich nieodrodny syn, władnącej sercem i wolą Boga wszechmocności oprzeć się niemogąc, przeznaczenie wyroków nieba, ile w zupełnej doskonałości zostając, jawnie poznawając, i nieodmienną determinacią dalszego pożycia swego z przepaścistego Boskiego rozrządzenia widoczną mając, wraz i skłonnością serca i rozporządzeniem Boskiem wyższem nad wolą ludzką zniewolony do jaśnie wielmożnej jmć panny Gertrudy hrabianki Komorowskiej, starościanki nowosielskiej godnej córki jaśnie wielmożnych jmć państwa Jakóba i Antoniny z Pawłowskich hrabiów Komorowskich, starostów nowosielskich, podlisieckich; w tym domu tedy jaśnie wielmożnych hrabiów z Liptowa Komorowskich, niegdyś gniazdowym królestwa węgierskiego i wysoce zaszczyconym, tu od trzechset lat przy przeniesieniu się do królestwa polskiego już senatorskiemi godnościami i różnemi koronnemi urzędami dawniej zaszczyconym, teraz świeżo prymacialną godnością

i kilku senatorskiemi krzesłami wygórowanym, skoligaceniem zacnych familij i krwi zacnością znakomitym, dożywotniego przyjaciela szacunek nad wszystko przechodzącego w samejże Boskiej ordynacii znajdując i upatrując, którejto jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej staróściance nowosielskiej nietylko dary natury, to jest zacność imienia, godność krwi od przodków przez rodziców wlana zalecenie dają, ale dary od Boga obficie wlane w przymiotach zacnych i rozlicznych talentach jakoby w jedno zebranych dank, szacunek i estymę czynią, a ztąd z wymiaru darów Boskich i tak znacznych talentów wysokiemu, jakie ją potyka, postanowieniu z przewidzenia Boskiego przeznaczona zostaje, za zrządzeniem więc boskiem idąc jaśnie wielmożny Potocki starosta bełzki wszelkie usilne starania o dożywotnią przyjaźń tejże jaśnie wielmożnej hrabianki Komorowskiej łożyć nieustając; jaśnie wielmożni hrabiowie Komorowscy, starostowie nowosielscy, rodzice,

poważając sobie tak zacność konkurenta, skłonność prawdziwego serca i affektu z obu stron poznawając, oprzeć się nieodstępnemu żądaniu jaśnie wielmożnego starosty bełzkiego niemogąc, zagradzać szczęścia od Boga przeznaczonego ukochanej córce swojej za niesłuszną rzecz być sądząc, wyrozumiewając oraz już od samych niebios wyroki, poddając wolą swą pod wolą najwyższego, nakłaniając się żądaniu jaśnie wielmożnego starosty bełzkiego, w związek i stan małżeński tęż córkę swoją jaśnie wielmożną jmć pannę Gertrudę hrabiankę Komorowską starościankę nowosielskę, nieodmiennym słowem deklarują i dzień ślubu poprzysiężenia sobie wiary obopólnie małżeńskiej w dobrach swych Niestanicach dzień dwódziesty ósmy miesiąca grudnia w roku teraźniejszym 1770 naznaczają, na któren akt ślubu jaśnie wielmożny starosta bełzki przybyć ma. Po któréjto jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej starościance nowosielskiej, jaśnie wielmożni hrabiowie Komorowscy

rodzice, sto tysięcy złotych polskich w gotowiźnie tym czasem wypłacić posagu z dóbr ojczystych i macierzystych naznaczają i deklarują, oprócz wyprawy, która nietylko stanowi i kondycyii jaśnie wielmożnej hrabiance przystojna być ma, ale jako w tak zacny dom idącej powiększona zostanie, po długiem zaś da Bóg pożyciu obojga jaśnie wielmożnych hrabiow Komorowskich rodziców, równy podział ojczystej i macierzystej substancii między wszystkich sukcesorów nastąpić powinien. Jaśnie wielmożny zaś starosta bełzki z własnej woli i szczerego affektu przyszłej małżonce swej jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej summę (*) —————— prostego długu niniejszą zapisuje intercyzą, któren zapis moc grodowej tranzakcii mieć ma; oraz dożywocie na wszystkiej substancii tym samym kontraktem ślubnym zeznaje, a po doszłym

(*) W oryginale tej intercyzy zostawione tu białe miejsce.

da Bóg związku małżeńskim wspólnie dożywocie wzajem sobie przyszli małżonkowie uczynić mają, *jura communicativa*, na wszelkie królewszczyzny z szafunku łask królewskich pozyskiwane jaśnie wielmożny starosta bełzki dla przyszłej małżonki swej wyrabiać obliguje się. Jako zaś wielkiej zacności i charakteru jaśnie wielmożny starosta bełzki, tak przyszłej małżonki swej do żadnych tranzakcii gwałt i pokrzywdzenie prawom jej czyniących pociągać nie będzie i nie ważne zostałyby. Któren to kontrakt ślubny czyli intercyzę strona stronie aktami grodu któregokolwiek, którejkolwiek prowincij roborować pozwala i podpisami rąk swych przy użytych i przytomnych przyjaciołach stwierdzają. Działo się w zamku suszeńskim d. ośmnastego listopada 1770 r.

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA

DO

Poematu Maryi.

Minął już kozak bezdnię i głębokie jary.

Na Rusi, ledwo nie w każdej wiosce, znajdują się źródła lub studnie osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale zato każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od duchów strzeżona.

Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia, który dla tego może tak jest ujmującym w pięknej twarzy że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego śli-

cznego zapomnienia się; a tylko pęzel Rafaela, w obrazie śtej Cecylii, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt prócz wyobraźni nie wpatrywał. Śta Cecylia, lubowniczka muzyki, wystawiona jest w tem malowidle śród narzędzi muzycznychj w chwili gdy ją dochodzi odgłos anielskieharmonii; i niemasz słów któreby opowie, dzieć umiały uczucie jakiem uderzona jej postać: zdaje się że jej dusza rozpierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dźwięków, kiedy wdzięczna skromność hamuje ją zamyśleniem, że nie warta tak niepojętego szczęścia, a śród roskoszy nieznanych jej sercu wkrada się smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet śtej Cecylii mniej ładna niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza, sama jedynie myśl gieniuszu świeci od wieków w tem szacownem płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten znajduje się w Bolonii, i

jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia, i mego *widzimisię*, najpiękniejszy jaki wydało malarstwo.

Podobna do owoców umarłego morza.

Wiele pięknych wyrównań czytać można w angielskich poetach do tych szczególnych owoców, które rosnąć mają nad brzegami jeziora *Asphaltes*, znanego pod imieniem martwego morza.

„Like to the apples ou the Dead Sea's shore,
„All ashes to the taste."

Byron. Harold's pigrimage, Canto III.

„Like Dead Sea fruits, that tempt the eye,
„But turn to ashes on the lips."

T. Moore. Lalla Roonkh, I. 222.

A że nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory;

Wyrażenie to, stosowne do ducha religii chrześciańskiej, nie jest może niewłaściwem i co do sposobu pod jakim się przedstawia-

ją oku, w znacznej wysokości, utwory dumy lub dowcipu człeka, sama nawet piękność natury którą mu dojrzeć pozwolono. W podróży mojej na szczyt góry Montblanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć jakich już zapewne w życiu mojem nie doświadczę; w podróży tej straciłem żywy z oczu i z myśli dziedzinę na której panuje człowiek, i tylko z jego siedziby przedmioty białej farby, a te właśnie których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały: i tak, widoczne były jeziora genewskie, Neuszatel, Morat, Bienne i t. d., jakby rozciągnięte na mroku żagle, kiedy domy, miasta nad ich brzegami stojące, barwy blaski, ciemną mgłę tworzyły; podobnie, rozpoznać było można lodozwały *(glaciers)*, kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznej wyniosłości lecz niższego rzędu, w szary koło nich mieszały się tuman. Nic jednak wspanialszego i dzikszego jak widok z góry Montblanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczej go sobie wyobra-

zić niepodobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego ducha, w chwili gdy Bóg chaos utwarzał. Wszystko co dziełem człeka, znika przez swoją małość: tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a ztąd krótki oddech i szybkie bicie pulsu, nadludzkiem jakiemś czuciem i uczuciem przejmują śmiertelnika: i pewny jestem iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernej różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, niktby go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia jakiego doświadczyłem na tej ogromnej i odosobnionej górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia tej podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebezpieczeństw koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam o-

koliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszej chmury i niezbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą, niż najcierpliwsza wytrwałość i najmocniejsze piersi; bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem niesłuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcarii a szczegó niej w *Chomouni* pełni są odwagi i rozsądku.

I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem ;

Zdarzyło mi się widzieć szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli tureckiej, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek N. Panny z napisem polskim gockiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc a zapewne nieraz i krwawe odbywała podróże. Szkoda tylko iż w napisie nie było ani roku, ani przez kogo zdobyta.

Suto stoły zastawić, nie szczędzić korzeni,

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach, wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmnjącym zbiorze: Pamiętniki o dawnej Polsce przez Juliana Niemcewicza.

A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca.

»Od Tamerlana podane prawidła zachowywali Tatarzy i to nazywali nasi dziadowie tańcem tatarskim.« Czacki o litewskich i polskich prawach k. 235 przypis 111.

Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki.

»Stepy te wysoką okryte trawą; nie można jechać przez nią by jej nie stratować; dla niepoznania więc toru i śladów używają Tatarzy następującego wybiegu. Wnosząc, że ich jest 400, dzielą się na cztery części po sto, część jedna idzie na zachód, druga na wschód, trzecia na południe, czwarta na północ; każda część uszedłszy półtorej mili

dzieli się na cztery części, postępuje dalej i znów się dzieli, tak że na końcu niebędzie jak po 10 lub 11 w hufcu, wszyscy jadą sporym kłusem; kiedy są postrzeżeni, każdy hufiec ucieka w swą stronę; tak trafnie kierując się przez stepy dochodzą do przeznaczonego miejsca, jak najlepszy żeglarz kompasem swoim lepiej kierować się nie może. Pędzący za nimi kozacy, trafiając na labirynt potratowanych przez nich ścieżek, niewiedzą w którą stronę gonić za nimi.« Opisanie Ukrainy polskiej przez Beauplana; w Pamiętnikach o dawnej Polsce J. Niemcewicza tom III, karta 373.

Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem.

Granice władz naszych umysłowych bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie, w stosunku nieskończoności która nas otacza, ale gdy to czego pojąć nie możemy za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując staniemy się podobni do tego sceptyka z

komedii, który dla tego tylko wierzył że żyje, że się mógł w każdej chwili pomacać. Nie będę ja tu rozprawiał. na obronę tych dwóch wierszy, jak to być może ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie, zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia, właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów z dawnej i nowożytnej historii: wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełnem zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczuciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była niepojętem ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem upewniał domowników, iż będąc w

swoich pokojach, zdawało mu się że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego jenerała Karwickiego, który go wołał do siebie; jakoż dziwnie i okropnie sprawdziły się te słowa, gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci jenerała Karwickiego mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści, i nie sprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i metafizyków o pozwolenie prosić wypada; do których powiedziećby można z Shakespearem: »*There are more things ir heav'n and earth, than are dreamt of in our philosophy.*« — *Są rzeczy na ziemi i w niebie o których nam się ani marzy w naszej filozofii.*

Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.

»Tatarzy radzi się potykają w polu równem, pułki swe w około zgromadziwszy szykiem zakrzywionym, który pospolicie

ludzie rycerscy marsowym tańcem zowią, a na pierwszem potkaniu tak gęste strzały puszczają jako najgęstszy grad.« Kronika Gwagnina tłomaczenia Paszkowskiega k. 593. »Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a nakształt półmiesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się rozstrzelili.« Kronika Marcina Stryjkowskiego karta 345.

Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie.

»Tatarzy strzały swe jadem jaszczurczym napuszczają.« Paszkowski dzieje tureckie karta 15; patrz słownik Lindego pod wyrazem jaszczurka. Nieznalazłszy bowiem tej xiążki w bibliotece uniwersytetu warszawskiego, niebyłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

Wszyscy domowi: szlachta, panny, giermki, draby,

Drab, żołnierz pieszy; patrz słownik Lindego.

Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni: postać Laokoona.

Powszechnie wiadoma historia, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg do którego stosuje się to przyrównanie.

KONIEC.

w Drukarni Alexandra Gins. N. 755.

SPIS RZECZY.

NAJŚWIĘTSZA MARYA PANNA.

W TANIÉM WYDAWNICTWIE

nakładem Michała Frühlinga księgarza

wyszły następujące dzieła.

---

	kop.
Anczyc Wł. L. Łobzowianie obrazek dramatyczny ze śpiewkami w 1 akcie. 1857 . .	30
Lenartowicz T. Najświętsza Marja Panna 1857	15
Wieniarski Ant. Nad Wisłą, krotochwila w 1 akcie ze śpiewkami, z dwiema rycinami i z nutami do 7miu śpiewów. 1857 . . .	20
Malczeski Ant. Marja, powieść ukraińska	12 ½
— w oprawie z ryciną	30

Pod prassą.

Zieliński Gustaw. Kirgiz, powieść.
